№ 21. Warszawa, dnia 13 (25) Maja 1881 r. Rok XVI.—Tom XVII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

**Prenumerata w Warszawie:**
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
**Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:**
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

# POGAWĘDKA.

Późna wiosna, ale zawsze wiosna, umaiła świat: ciepło, pogodnie, zielono, więc i ludziom znów jakoś raźniej do pracy, jakoś odetchnąć swobodniej, weselej pomyśleć; jakaś nowa otucha ze świeżem powietrzem wpływa do przygniecionej, zmiętej piersi człowieczej.

Może się i w niej odrodzi jako, rozzieleni, umai; może choć jednym pąkiem rozkwitnie serce, co jak dziecko śmieje się do każdego błysku złotego słońca i wierzyć nie przestaje, że.... lepiej być może— i pociesza się, że najgorzej jeszcze nie było.

Mamy tedy piękny, uroczy Maj, miesiąc kwiatów, słowików, zefirów i zakochanych, i byłoby w nim tak dobrze, jak tylko dobrze bywa podczas świetnej uwertury w przyrodzie, rozpoczynającej odwieczną a zawsze nową symfonią życia, gdyby wśród jasnych promieni słońca, wśród szmerów liści i świegotu ptasząt, nie zabrzmiał bolesnym rozdźwiękiem strwożony głos ludzi, wołający daleko: „ratunku, pomocy!“

Od miesiąca głuche odgłosy zapowiadały jakiś zamęt, jakieś nowe niebezpieczeństwa. Niestety, zapowiedzi się sprawdziły. Niewiedzieć zkąd i dlaczego, we wschodnich i południowych guberniach Cesarstwa dano hasło, szczujące na żydów. Od jednej iskry wszczął się cały pożar, od rabunków i prześladowania w Elizabetgradzie, przyszło do tego, że aż w spokojnej, jak Niobe — Warszawie, trzeba było uderzyć na trwogę.

Agitacye przeciw-żydowskie sięgnęły aż do nas, zaczęły i tu swoją wichrzycielską pracę, usiłując jedną warstwę ludności rzucić z druzgocącą siłą na drugą; ale środki zawiodły, cele chybiły. Tłumy nie dały się oszołomić i zbuntować, nie poszły na pokuszenie.

Nie naszą rzeczą zagłębiać się w przyczyny tego ruchu, który od miesiąca wstrząsa wulkanami ciemny lud w południowo-wschodnich stronach Cesarstwa; nie naszą rzeczą zastanawiać się: czy tam chodzi, i oile chodzi — o żydów samych, czy wydane hasła anti-semickie nie są tylko pozorem.

Na stanowisku obserwacyjnem należy nam stać, jak na strażnicy, przestrzegając, aby te fale powodzi nie podpływały aż do naszych brzegów, nie zaczęły ich kruszyć i podmywać. Dlatego-to na pierwszą wieść o grożących naszym społecznym stosunkom i równowadze zamachom, cała światlejsza opinia kraju, postawiła swoje *veto;* wszyscy ludzie dobrej, obywatelskiej woli i trzeźwego poglądu w samem żarzewiu stłumili iskry, które wiatr wschodni naniósł na naszą strzechę. Odezwała się prassa, odezwało duchowieństwo; po dziennikach i po kościołach rozważne słowa i życzliwe rady, miłością bliźniego i miłością kraju podyktowane, uśmierzać zaczęły tłum, nierozumiejący, niebadający kwestyj społecznych i moralnych, ale instynktownie posłuszny głosom zaufanym i poważanym.

Dotychczas, a da Bóg, że i na przyszłość, minęło nas wstrząśnienie, które nieobliczone szkody i nieszczęścia mogło było sprowadzić ze sobą.

Nasza ludność semicka nie poniosła szwanku i nie poniesie go, jeśli z drugiej strony zarówno działać będą podobnie szlachetne wpływy i czynniki. Stosunek nasz do żydów od pewnego czasu kształtuje się na innych zupełnie podstawach, niż w Niemczech lub Rossyi. Praca uspołecznienia warstwy, stanowiącej dotąd jakby osobne, obce ciało w organizmie narodowym, rozpoczęła się wreszcie i pomyślny, choć powolny, zapowiada rozwój.

Moglibyśmy przykładów naliczyć wiele, ale lepiej zachować jeszcze dla przyszłości, robotę owego społecznego bilansu, w którym nową pozycyą *in plus* stanowić mają zjednoczone usiłowania żydów i chrześcijan w Polsce.

Pominąwszy wszelako wszystkie inne względy, któreby mogły skłonić społeczeństwo, takie, jak nasze, do wystąpienia w obronie swoich współobywateli innego wyznania, to i tak jeszcze pozostaną bardzo silne pobudki moralne i ekonomiczne, zmuszające nas do tłumienia w samym zarodku szalonych i namiętnych aktów społecznego gwałtu, który, jak każdy gwałt, dobrych rezultatów mieć nie może.

Zresztą żaden interes lokalny, żaden wyraźny powód, choćby pewnej tylko cząstki naszego społeczeństwa, nie usprawiedliwiłby zapomnienia i napadu na mienie i życie ludności semickiej. Tłum nasz wolny jest jeszcze od socyalistycznych pokuszeń, od zawiści podsycanej doktryneryą, praktycznych filozofów społecznych, od krwawych instynktów i demagogicznej gorączki. Gdyby mimoto dał się porwać jakiemuś szalonemu prądowi, to tylko popchnięty przez siłę obcą, przez owe usłużne demony zawichrzeń społecznych, które dotychczas dla swego siewu znajdowały u nas jałowe grunta.

Kąkol ich nawet przyjąć się nie chciał i przyjąć się nie powinien na ziemi, na której rodził się od wieków chleb braterstwa, miłości i ofiary.

Wielką zasługę obywatelską przypisać winniśmy obecnie naszemu duchowieństwu za gorliwość, z jaką zabrało się do zaklęcia grożącej burzy. Odezwa JE. ks. Sotkiewicza, administratora dyecezyi Warszawskiej, odczytana z kazalnic kościelnych, przemówiła przekonywająco do tłumów. Ostrzeżone sumienia muszą się chronić od plamy i ciężaru zbrodni. Obyśmy tak przy każdej ważniejszej sposobności zawdzięczać mogli duchowieństwu naszemu dobroczynny i światły wpływ na massy, dla których religia jest jeszcze najsilniejszym czynnikiem moralności, a Kościół instytucyą najważniejszą!

Jak wszędzie, tak i u nas, mnóztwo kwestyj społecznych i moralnych zawisło w ważnej części od stopnia oświaty. Pociemku ludzie się potrącają, potykają, błądzą, gniotą i upadają sobie pod nogi; — pochodnia prawdy rozprasza ciemności, wskazuje proste drogi i wyprowadza z labiryntu. Światła tedy trzeba dla błądzących narodów, światła nauki prawdziwej.

* * *

Od pewnego czasu poczęliśmy na szczęście pracować coraz energiczniej i gorliwiej pod tą zbawienną dewizą. Oświata stała się celem popieranym przez wszystkich miłujących wielką ideę wolności i braterstwa ludów. Powoli wprawdzie, jak z kamienia, wyrastają nasze szkoły, szkółki i ochrony; wązkie jeszcze i płytkie rozpływają się strumienie nauki po naszych niwach społecznych, ale płyną coraz liczniej i śmielej.

Wiele jeszcze wszelako pozostaje odłogiem leżących ugorów pośród ludu naszego i klas pracujących; tam należałoby pracować najpilniej i najwięcej, tam nieść potrzeba światło, według rady poety, co „zaklinał, by żywi nie tracili nadziei, i przed ludem oświaty nieśli kaganiec“.

Do tej pracy potrzeba koniecznie apostolstwa, wielkiej miłości i poświęcenia i wiary w cele jej upragnione; gdzie się ono znajdzie, tam wszędzie, w każdym szlacheckim dworku, w każdej ubożuchnej plebanii, w każdym warsztacie powstać może szkoła, zabłysnąć może kaganiec oświaty, co spłoszy ciemność z umysłów prostaczków. Takich apostołów z intelligencyi naszej, wśród obywatelstwa, duchowieństwa, wśród przemysłowców i rękodzielników, — żeby Bóg nam zsyłać zechciał jaknajwięcej: moglibyśmy śmiało patrzeć w przyszłość i nie obawiać się niczego.

Prawda i to, że u nas o dobrą chęć nie trudno, ale do czynu sił własnych brak: więc od zamiaru do celu, choćby napozór najbliżej było, droga często tak trudna i nużąca, iż dojść nawet nie podobna.

Naprzykład pierwszy lepszy przytoczymy, tyle razy i tak gorąco popieraną, sprawę resursy rzemieślniczej, której inicyatorem i głównym protektorem podjął się być czcigodny X. Zygmunt Chełmicki, prawdziwy przyjaciel i dobrodziej klas pracujących.

Od dwóch lat, jeżeli nie dłużej, kołacze się ten projekt i jakoś do skutku nie dochodzi, a projekt to bardzo pożyteczny, dla moralności rzemieślników naszych i dla obudzenia pomiędzy nimi żywszej chęci do oświaty. Pod dobrym wpływem i opieką możnaby jeszcze lepiej dbać o zdrowie dusz i umysłów, bałamuconych mętnemi pojęciami, i najłatwiej dostępnych różnym szkodliwym teoryom.

Z ludźmi niekoniecznie bywa tak, jak z jabłkami: że jedno zgniłe wszystkie inne zepsuje; często jeden człowiek dobry naprawić może wielu złych i zepsutych. Otóż w takiej Resursie znalazłby się zapewne i umoralniający czynnik dobrego przykładu. Cóż z tego, kiedy tej Resursy doczekać się nie możemy!?

Ha!... może bogi będą łaskawsze i kiedyś pozwolą się jej doczekać naszym wnukom.

* * *

Dzięki inicyatywie osób dobrej woli powstać ma u nas „Towarzystwo opieki nad służącymi“.

Byłaby to instytucya prawdziwie dobroczynna dla.... chlebodawców, uwalniająca ich od wyzyskiwania i oszukaństwa kantorów stręczycielskich, a rozciągająca poważną moralną kontrolę nad sługami, które w Warszawie nie przyczyniają się nam wcale do uprzyjemniania życia. W projekcie tym mieści się także zamiar założenia Kassy oszczędności i zapomogi dla sług, pod opieką Stowarzyszenia zostających, a kassę ową zasilałyby składki zwyczajnych członków, opłaty ze strony kantorów i pracodawców.

Służąca i państwo wnosić-by musieli pewną małą kwotę przy zmianie służby, lecz nie na korzyść stręczyciela, jak się to dotychczas działo, ale na rzecz służącej, na jej osobistą i niezaprzeczalną własność.

Nie wiemy, oile ten punkt w ostatniej stylizacyi ustawy Towarzystwa zostanie określony, ale nasuwa się nam tutaj uwaga, iż bez pewnych zastrzeżeń — taki warunek mógłby się stać zachętą dla chciwych jednostek do jaknajczęstszej zmiany służby, bo każda zmiana powiększałaby składką nowego chlebodawcy fundusz zapasowy służącej czy służącego.

Są to zresztą drobnostki, które poprawić-by się dały, byle tylko projekt nie ugrzązł na mieliznie, jak wiele jemu podobnych.

*Si fabula vera* ten będzie szczęśliwszym od innych, bo znalazł poparcie osób wpływowych u władzy.

* * *

Niebywałem powodzeniem uświetnioną została przypadkowa, ale mimo to—zajmująca „Wystawa przemysłowa“ w pałacu Brühlowskim.

Prawdziwej swej wartości byłaby dopiero nabrała na właściwem miejscu przaznaczenia, w Moskwie, gdzie okazy naszego przemysłu w zestawieniu z wyrobami rossyjskiemi mogły były popisać się należycie, w niejednym dziale uzyskać palmę pierwszeństwa i zaszczytnie zarekommendować przemysł i rękodzielnictwo polskie. Stało się inaczej,—wystawę moskiewską odłożono do przyszłego roku; rok wprawdzie nie jest tak wielkim okresem czasu, ale i on w rozwoju ekonomicznym znaczy niekiedy bardzo wiele, przynajmniej u nas; może też i lepiej, że przemysł nasz o cały rok później stanie w szrankach wystawowych, chociaż i dzisiaj mógłby śmiało pójść w porównanie nawet z zagranicą. Wystawa w pałacu Brühlowskim nie dawała nam wszelako o nim dokładnego, szerokiego pojęcia; przedstawiała tylko *maystersztyki*, tej lub owej firmy, ale i o nich dobrze było dowiedzieć się i przekonać, do czego w danym razie jesteśmy już zdolni na tem i owem polu. Miała też Wystawa jeszcze jedną moralną zasługę: oto wyprowadziła na jaw wyroby instytucyj, które niedawno pracują nad fachowem wykształceniem młodego pokolenia.

Z wielką pociechą oglądaliśmy tu owoce pracy i nauki zdolnych uczniów Szkoły technicznej przy kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, zadziwiające doskonałością wyrobu, elegancyą niemal kokieteryjną, która z owych wystawionych wagonów, wazek i instrumentów robi przedziwne cuda. Powszechną uwagę zwracały też rysunki tejsamej szkoły, jako-też szkoły rysunkowej bezpłatnej przy Muzeum przemysłu i rolnictwa, skromne wprawdzie, ale obiecujące wiele zaczątki wyrobów drugiej szkoły rzemieślniczej przy ulicy Jasnej, założonej z inicyatywy Dra Nathansona.

Nowo założona Szkoła koronkarstwa, o której pisano już obszerniej w jednym z ostatnich numerów *Bluszczu*, wystąpiła także na popis, nietylko z wyrobami, ale z malutkiemi wyrobnicami, które w krótkim czasie nauczyły się tak wprawnie śmigać klockami na nitkach, że aż radość brała patrzeć na te niebożątka, torujące nowemu przemysłowi drogę.

Wspomnieć też godzi się o pracach więźniów, bo one dają więcej do myślenia od innych, świadcząc sobą, że i w kajdanach zakutym skazańcom nie jest zamkniętą droga pożytecznej rehabilitacyi. O innych, zbyt specyalnych działach Wystawy, nie chcemy wspominać zbyt krótko, a nie uważamy się za dosyć uprawnionych do wydawania ogólnych sądów; powtórzymy tylko za rzeczoznawcami, że z tego, co wybitniejsze firmy nam wystawiły, można chlubnie i pomyślnie wróżyć o rozwoju naszego przemysłu na przyszłość.—Wkrótce otworzą się znowu sale pałacu Brühlowskiego dla ciekawych tłumów, ale tym razem Wystawa będzie miała cel i charakter bardziej określony. Dla rzemieślników naszych nadarzy się wyborna sposobność do wykształcenia smaku i pobudzenia twórczości u naszych rękodzielników, trzymających się jeszcze zanadto starej, utartej rutyny.

„Sztuka w zastosowaniu do przemysłu“ oddawna była przedmiotem bardzo zajmujących badań i wytwarzała prawdziwe arcydzieła w swoim rodzaju u Włochów i Francuzów. Nasz polski rzemieślnik wolał naśladować, niż tworzyć, a naśladował z nielicznych wzorów, najczęściej nieudolnie, bo mu brakło i zachęty i kierunku i pomocy. Zasługą będzie Komitetu Muzeum przemysłowego, jeżeli urządzeniem wystawy obudzi w tych sferach właśnie zajęcie i szlachetną emulacyą, które z niej najwięcej korzystać powinny. Panowie majstrowie i przełożeni zakładów rękodzielniczych powinniby gorliwie studiować Wystawę i posyłać na nią swą czeladź, aby się uczyła, kształciła gust i starała się potem naśladować cudzą sztukę i zręczność.

Dobrze-by też było dla klas pracujących poczynić pewne ulgi i ułatwienia w zwiedzaniu Wystawy.

* * *

Szczęśliwy pomysł bywa nietylko rękojmią powodzenia, ale czasami i zasługą, dającą prawo do ogólnego, gorącego uznania. Przekonał się o tem p. Adam Münchheimer, znany muzyk i kompozytor, który po Moniuszce wziął w spuściźnie dobroczynną pracę dla szlachetnych celów i od kilku lat zajmuje się urządzaniem koncertów na korzyść uczącej się młodzieży. Obecnie jego trudom i inicyatywie zawdzięczać będziemy wydanie cennych prac sędziwego a niezmordowanego badacza ludu naszego, jego pieśni, zwyczajów i obyczajów, Oskara Kolberga. Pan Münchheimer wpadł na doskonałą myśl urządzenia koncertu historycznego z utworów polskich i przeznaczenia całego dochodu na fundusz wydawniczy „Dzieł“ naszego zasłużonego pisarza. Począwszy od archaicznego hymnu „Bogarodzico“, aż do mazurków Szopena i pieśni Moniuszki, ułożył on ze znawstwem i smakiem cały obraz niejako naszej rodzimej, narodowej muzyki w jej stopniowym rozwoju i doskonaleniu się. Poraz pierwszy Warszawa usłyszała utwory rodaków, o których słych zaginął już dawno, i przekonał się, że czas pokrzywdził owych zapomnianych kompozytorów polskich, którzy zpoza grobu odezwali się niespodzianie taką pieśnią pełną natchnienia i uczucia, że słuchaczom serca rosły, oczy płonęły, pierś nabrzmiewała zachwytem. Nic dziwnego, iż po pierwszym koncercie odezwały się głosy z prośbą o powtórzenie, że drugi koncert równie był zapełniony, że trzeci udałby się niezawodnie, równie jak pierwsze dwa, pomyślnie; kochamy wszystko, co swojskie, co nasze, bo ta miłość wzmacnia nam życie i siły, bo ona utrzymuje krzepkość i wiarę ducha, łączy i spaja najdrobniejsze ogniwa społecznego łańcucha.

Drugą taką odświętną niespodziankę urządza nam komitet wydawniczy „Dzieł“ Jana Kochanowskiego, pracujący nad przygotowaniem wspaniałej edycyi pism księcia naszych poetów, śpiewaka zpod Czarnoleskiej lipy. W Listopadzie roku bieżącego odbyć się ma w Teatrze Wielkim widowisko historyczne, złożone z „Odprawy posłów greckich“ i pierwszej krotochwili polskiej Piotra Baryki „Z chłopa król“.

Dochód z tego widowiska zasilić ma fundusz wydawniczy, którego nie udało się znaleźć u żadnego z prywatnych nakładców naszych. Musiano się przeto uciec do tego sposobu i wezwać publiczność warszawską na nakładczynią. Skutek zapewnie nie zawiedzie, a może i sam cel zyska przez to na powadze, że poprą go usiłowania i ofiara ogółu, a nie ryzyko jednostki.

Urządzeniem rzeczonego widowiska zajmuje się komitet złożony z przewodniczącego w komitecie wydawniczym, hr. Konstantego Przezdzieckiego, pp. Dobieckiego Kazimierza, Faleńskiego Felicyana, Gawalewicza Maryana, Gersona Wojciecha, Kaszewskiego Kazimierza, Królikowskiego Jana, Pietkiewicza Antoniego i Piramowicza Marcellego.

Dla uświetnienia widowiska ogłoszono konkurs, wzywający wszystkich poetów polskich do napisania okolicznościowego wiersza, któryby dzisiej-

szemu pokoleniu odsłonił duszę ojca poezyi polskiej, uwydatnił wszystkie główne cechy jego charakteru, jako człowieka i twórcy, przedstawiając zarazem ważniejsze koleje jego życia, domu, rodziny i kraju.

Utwór uznany za najlepszy przez uproszonych do tego sędziów otrzyma nagrodę w kwocie 100 rs., wypłacalnych niezwłocznie po przedstawieniu, i ozdobny exemplarz „Dzieł“ Kochanowskiego, opatrzony imienną dedykacyą. Drugi za najlepszy z pozostałych uznany otrzyma w nagrodę tylko „Dzieła“ i pozostanie własnością autora. Utwory nadsyłać należy pod adresem prof. Józefa Przyborowskiego w Warszawie, przy ulicy Żabiej pod Nr. 4. Na sędziów konkursu uproszeni zostali: p. p. Jenike Ludwik, Kaszewski Kazimierz, Królikowski Jan, Pietkiewicz Antoni, (Pług Adam) i Plenkiewicz Roman.

Przypuszczać się godzi, że skoro sława i geniusz Calderona natchnąć mogły wśród nas poetę do wyśpiewania na cześć jego ody, tem bardziej zasługuje na to Jan z Czarnolasu; tem więcej spodziewać się można gorącego natchnienia w sercach poetów naszych, którzy bez wyjątku nastroić zechcą lutnię i stanąć do tego zaszczytnego konkursu.

Gdy mowa o poetach, wspomnijmyż o tym, który przerósł wszystkich i ponad milionami trzymał swe serce jak słońce promienne, a dotąd nie mógł się doczekać nawet kamienia pamięci na swojej ziemi.

Czyż potrzeba zachęcać do składek na pomnik Mickiewicza?... Dość powiedzieć, że składki się rozpoczęły, że jedną ze skarbonek w Warszawie trzyma wieszczka nasza, Deotyma, że najmniejsza ofiara jest równie ważną w tym razie, jak hojny datek magnata, że to naród stawia pomnik królowi swojej poezyi. Chyba ten, co nie usłyszy — nie pośpieszy z wdowim groszem i nie zarumieni się, iż na uczczenie swego największego wieszcza nie dał nic.

---

# SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

**J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg).

Na wieczorze tylko u pułkownika K.... przypadkiem się znajdujący Pocieszyński, ów rumiany, z farbowanemi włosy i pięknym wąsikiem, adorator Ludmiły—przyznał się przed hrabią, że ją, już bardzo dawno temu, spotkał, raz na wystawie, drugi raz na ulicy, ale zdawało się, że zupełnie znikła z horyzontu. Z opisu, jaki dawał, nie ulegało wątpliwości, iż nie o kim innym mówił, tylko o pannie Ludmile.

Hr. Zygmunt, który nic taić nie chciał, rozpowiedział, iż rodzina była o nią niespokojną, że oddalenie się jej z kraju było *un coup de tête* i że on dlatego miał sobie za obowiązek, jako przyjaciel familii, czynić jaknajstaranniejsze poszukiwania.

Nie czyniono mu najmniejszej nadziei, aby one jakimkolwiek skutkiem uwieńczyć się mogły. Hr. Zygmunt przecież wcale się tem nie zrażał.

---

*Z dziennika:*— „Obraz mój, nad którym pracuję pilno, jest już prawie na ukończeniu. Są chwile, że mi się wydaje wcale ładnym, żem rada z niego, żem prawie nim dumna — lecz potem nadchodzą godziny; wzrok i sąd się mój zmienia: widzę uchybienia nie do poprawy, widzę same słabości i wady; gotowabym go zniszczyć.

Jest to niewytłómaczonem dla mnie i niepokoi mnie wielce. Nie mam się kogo spytać: jest-li to fenomen tylko mnie właściwy, czy też równie inni podlegają mu artyści? A któż mi powie, kiedy mam słuszność: czy wtedy, gdy widzę jasno, czy też gdy wzrok czarnem mi wszystko ukazuje?

Gdybym nawet zniszczyła, com zrobiła, a poczęła coś innego, możeby powtórzyło się toż samo....

A! te nieszczęśliwe obrazy! na staludze, w pracowni, w tem świetle, w jakiem były malowane, na tem tle, na którem powstały, jakże inaczej się wydają, niż później, gdy je na świat, światło i na inne zupełnie otoczenie wynieść potrzeba!

Margrabina jest zawsze dla mnie pełną uprzejmości, a młody wnuk jej — może aż zanadto grzecznym.—Nie wiem, dlaczego obawiać się go zaczynam. W czasie chwilowej niebytności babki, tak dziwnie jakoś patrzy na mnie, tak inaczej mówi, tak się zbliżyć usiłuje. Wszystko to nie przekracza dotąd pewnych granic, lecz w stosunku z tym domem, który tak dla mnie był sympatycznym, jest to nuta — ja nie wiem— dyssonans, który się może albo niewinnie i szczęśliwie rozwiązać, albo smutną dysharmonią zakończyć.

Zdziwiło mnie, że pod pozorem zobaczenia prędszego restaurujących się obrazów, gdy na chwilę babka odeszła, prosił mnie o pozwolenie zwiedzenia kiedy pracowni mojej. Zarumieniona musiałam mu odpowiedzieć zimno, że pracownią mam bardzo szczupłą, która mi razem służy za mieszkanie, i że w niej nikogo przyjmować nie mogę.

Mowy już potem nie było o odwiedzinach, alem się ich przelękła. Onieśmieloną tem jestem. Jakkolwiek hrabia jest nadzwyczaj grzeczny i pełen uszanowania—boję się go. Moje położenie naraża mnie ciągle na podobne napaści.

Lecz—nie! to już obawa przesadzona i próżna.— Tak dobry, tak starannie wychowany człowiek, widząc przed sobą sierotę bez opieki, mógłże-by? O! nie! Ja jestem—stałam się niegodziwie podejrzliwą.

Obraz mój — już nareszcie skończony. Czuję, że gdybym jeszcze coś dodawać chciała, musiałabym go popsuć. Ostatni prawie grosz wydałam na sprawienie mu—jedynakowi temu—ram wspaniałych i smakowych.

Jutro odeślę go margrabinie, a potem niech się dzieje wola Boża.

Dotąd jeszcze oboje, babka i wnuk, okazują mi dawną życzliwość, jednakże postrzegam pewną zmianę tonu (o! ta podejrzliwość nieszczęsna). Margrabina zdaje się obawiać czegoś. Wnuk przy niej jest przymuszenie chłodny, bez niej nadto grzeczny i nadskakujący.

Muszę pójść tam, aby spytać: Czy z obrazem moim wystąpić mogę?

„— Nie umiem wyrazić, jak boleśnie zostałam dotkniętą. Jest w tem coś niewytłómaczonego....

Gdym przybyła do domu margrabiny, odźwierny przyjął mnie z pewnem zakłopotaniem. Prosił mnie, abym poczekała w jego loży, póki się nie dowie o rozkazach pani, bawił dosyć długo i powrócił z listem do mnie.

Znalazłam w nim grzeczne bardzo podziękowanie za restauracye moje, znowu banknot i — pożegnanie. Margrabina wyraziła swój żal, iż nagle zmuszona wyjechać na wieś do dóbr swoich, widzieć się ze mną nie może....

Wyszłam, naturalnie, zmieszana i strapiona moim zawodem, czasem straconym, kosztem poniesionym—tak, żem, wracając do siebie, w drodze zabłądziła.

Po namyśle musiałam wprost wybrać się na radę do Père Duval, aby znaleźć nową pracę. Byłam nieopatrzną trochę i łatwiejszy zarobek upoił mnie. Wydawałam nadto. Popłaciwszy, co niezbędnie potrzebne, muszę myśleć o tem jutrze, odnawiającem się codzień, powracającem z troską coraz nową.

Père Duval wysłuchał mojego opowiadania, chociaż niezupełnego —z obojętnością człowieka, który nawykł innych uważać za narzędzia tylko... Roboty nie dał mi żadnej—zaledwie może w przyszłości słabą mi ukazując nadzieję, że się jakaś znaleźć może. Utyskiwał na bardzo złe czasy, na brak kupujących i na to, że restauracye, na które łożył, nie rychło mu się opłacały. Odeszłam z niczem od niego i musiałam zwrócić się do fabryki porcelany przy ulicy Paradis-Poissonnière.

Tu ktoś inny zajął już miejsce zaniedbane przezemnie. Roboty mi wprawdzie nie odmówiono stanowczo, ale czekać na nią kazano. Dyrygujący fabryką poprosił mnie do swojego biura, podał krzesło, zabawił rozmową, znajdował się aż nadto grzecznie; lecz ze wszystkiego zmiarkować mogłam, że łaskę jego potrzeba było pozyskać, okazując mu to, czego nigdy wzbudzić-by we mnie nie mógł.

Musiałam więc pożegnać go zimno i — zapewne już tu nie powrócę.

Czuję się tak zrażoną i wyczerpaną, że mi jest niedobrze... Lękam się, abym nie zachorowała. Głowa mnie boli, dreszcze przechodzą.

Biedny kościołek we wspaniałych ramach, które napróżno tak drogo opłacić przyszło, stoi czekając—jak ja, nowego chyba zawodu. Gdym, powróciwszy, zobaczyła go, łzy mi się w oczach zakręciły. Napróżno w sobie usiłowałam męztwo rozbudzić.

Co począć? sama nie wiem. Miesiąc, dwa, wytrwam może i bez pracy—tem co mam, lecz dalej?

Czy mi się przez ten czas uda co znaleźć? Do kogo-bym się teraz udać mogła? Chcę pracować? chcę tylko módz zarobić na życie.

„—Zwlokłam się z łóżka, po nocy gorączkowej, prawie bezsennej, taka osłabiona, że mi było niepodobieństwem zejść na śniadanie. Gospodyni była tak grzeczną, że mi je swej małej córeczce przynieść kazała, ale w usta nic wziąć nie mogłam. Przejrzałam się w zwierciedle: jestem straszliwie żółta od wczoraj. Robić nic nie mogę, ręce mi drżą, w głowie się kręci. Położyć się muszę,—przespać to niezdrowie. Głód i sen są wielkimi lekarzami.

„—Trzy dni już jak nic w rękę nie biorę, pędzla ani ołówka. Czuję się ciągle niedobrze. Doktora wzywać, albo nawet pójść do którego z nich: kosztuje. Trzeba cierpliwie czekać, aż natura sama albo zwycięży chorobę, albo....

Posłałam do Père Duval, aby sobie kupił obraz z ramami lub ramy chociażby same. Przyszedł obejrzeć oboje, lecz cena, jaką daje, ledwie opłaci wspaniałą oprawę. Obrazek idzie w dodatku.

W świat, biedny mój sieroto! Nie chciałam patrzeć, gdy go Père Duval zabierał. Widząc mnie tak chorą, zlitował się nademną i życzył przenieść się do jakiejś *maison de santé*, to jest ponaszemu, do szpitala! W Paryżu niéma w tem nic nadzwyczajnego, nic upakarzającego, ale w pojęciach naszych—leżeć w szpitalu, umierać w nim, jest czemś tak bolesnem! Ostatni to już stopień nędzy, bezdomia, osierocenia.

Szpital! o dobry mój ojcze, jak-żebyś ty cierpiał na tę myśl samę, że córka twoja—jedynaczka!.... Ale dlaczegóż ja miałabym być lepszą od innych?

„—Powiadają, iż wola człowieka jest potężną, tak silną, że cudów dokazuje. Dźwigam się nią, aby być zdrową. Wstaję z łóżka gwałtem, przechadzam się. Siedzę, probuję coś robić, słabnę, i przemagam to osłabienie. Gospodyni zaczyna się, jak widzę, niepokoić i gniewać na mnie; staram się ją ułagodzić, okazać wesołą. Zabiega teraz częściej; przysyła swoją córkę, pilnuje mnie, lęka się, abym jej nie zmarła, co-by ją niemałego nabawiło kłopotu. Pragnęłabym być zdrową; modlę się o to—a sama troska i trwoga odbierają mi siły.

Zmusiłam się, siadam dziś do malowania na porcelanie; ale mi się ćmiło w oczach, ręce drżały a olejki nieznośną wonią swoją powiększały ból głowy. Musiałam porzucić robotę.

„—Choroba się przeciąga, lecz nie jest mi bardzo gorzej, zatem kiedyś lepiej być musi. Mam nieco nadziei. Osłabioną tylko jestem mocno— a chociaż usiłuję jeść, aby się posilić, do niczego nie mam apetytu.

Wciągu choroby fundusz się mój wyczerpał, rachunek gospodyni urósł niezmiernie, z trwogą widzę, że się wyczerpie rychło, a potem?

Mogłabym wiele niepotrzebnych rzeczy posprzedawać, obejść się dwiema sukienkami, ale toby przestraszyło gospodynią, mogłaby mi wypowiedzieć mieszkanie, czego się niezmiernie lękam, bo innego-bym teraz szukać ani znaleźć nie mogła. Kobieta dobra, ale uboga, ma dzieci, ja dla niej jestem obcą. O mój Boże!

„—Niespodziewane wcale odwiedziny Duval'a. Wszedł jakiś zakłopotany, zobaczywszy go, domyśliłam się, że mi pewnie da jakąś robotę. O! co za szczęście. Choć osłabiona, resztkami sił, z u-

śmiechem wyszłam przeciwko niemu, ażeby nie przestraszył się i myśli nie zmienił. Serce mi do starego biło, jakby do tego, coby mi był najbliższym. Zaczął od zapytania o moje zdrowie, na co mu odpowiedziałam, że się czuję daleko lepiej, niemal zupełnie dobrze; a gdym to kłamstwo wymawiała, drżałam, aby się na niem nie poznał. Stary się długo rozglądał po mieszkaniu, okazując szczególną o mnie troskliwość, jakiej nigdy w nim nie znalazłam.

Zapytał potem: czybym jakich robót moich do sprzedania nie miała, bo choć czasy są bardzo złe, a pierwszy mój obrazek dotąd nie sprzedany, radby mi jednak dopomódz.

Szczególna rzecz—mówił to jakoś tak, żem mu uwierzyć nie mogła, i że mimowolnie obudził we mnie podejrzenie.

Pokazałam mu, że mam tylko szkice i studia, i że—chybabym musiała z nich co nowego utworzyć. Nie śmiałam mu tylko się przyznać, że—trudno mi będzie nabyć płótno, farby, bo jeszcze, jak mi się zdaje, winnam coś temu, u którego je biorę, a ten, wątpię, by mi nadel chciał kredytować. Lecz, gdybym tylko wyjść mogła, łatwo pod chustkę zabiorę suknią i sprzedam ją dla kupienia potrzebnych przyborów.

Duval nie mógł się jakoś na wybór przedmiotu zdecydować, zostawił mi go i obiecał tylko, że gdy co gotowego mieć będę, może za umiarkowaną cenę—wziąć *pendant* do pierwszego krajobrazu, gdyż dla ozdoby pokojów łatwiej się często dwa sobie odpowiadające niż jeden sprzedają; tem on tłómaczył łaskę, którą mi robił.

Przyjęłam wszystkie warunki, bo nowa nadzieja wstąpiła we mnie. Po wyjściu jego, poczułam się nieco żwawszą i silniejszą.

Lecz nieodzownie potrzeba mi módz wyjść, a jeszcze się z ciężkością długo na nogach mogę utrzymać. Probuję chodzić po pokojach, ale są tak małe, że ciągle krążąc, dostaję zawrotu głowy. Siadać trzeba ciągle i spoczywać, a tu nic jeszcze zejść z piątego piętra, lecz na nie powrócić! W ulicy ten zgiełk i wrzawa, przy mojem osłabieniu.

Jednakże zejść koniecznie potrzeba, ażeby coś sprzedać.

Za jedwabną suknią, zdaje mi się, że cośbym wziąć powinna. Znalazłam niespodzianie kilkanaście łokci starych koronek, które niegdyś miały być kosztowne. Muszę je poświęcić, choć to jest pamiątka z tych dobrych czasów, które nie wrócą. Utnę z nich choć kawałeczek, aby mi je przypomniał.

„— A! to pierwsze wyjście z domu. Sądziłam z początku, że nie potrafię się przezwyciężyć, tak mi się w głowie kręciło. Musiałam ciągle trzymać się poręczy i stawać na każdym wschodów przestanku. Co za męka na trotoarze, to ciągłe mijanie się ze śpieszącymi! Musiałam trzymać się muru, iść ostrożnie, a przechodząc ulicę, uważać, aby mnie nie najechano. Ludzie spoglądali na mnie z politowaniem jakiemś, i to mnie siłą natchnęło, bo nie miło jest obudzać litość.

Dowlokłam się, sama nie wiem jak, do sklepu, w którym zobaczyłam wyłożone w oknie stare koronki. Kupiec z ciekawością rozwinął mój pęczek, przyglądał się długo; trwoga mnie ogarnęła, gdym spostrzegła z jaką obojętnością je rozpatruje; zaczął rozpytywać widocznie, ażeby poznać: czym znała wartość tego, co mu na sprzedaż przyniosłam? Powiedział nareszcie, że kupić jest gotów, ale ceny wysokiej dać nie może, bo się to nie łatwo sprzedaje.

Spytałam: co dać może?

Odpowiedział mi zapytaniem: co chcę?

Staliśmy tak naprzeciw siebie długo, a mnie już dłużej na nogach utrzymać się było niepodobna. Prosiłam o krzesełko.

Stary przekupień przysunął mi je żywo i zdawał się także być litością wzruszonym.

— Wiesz pani co—rzekł mi—targować się nie będę, powiem jej sumiennie, co dać mogę. Widzę, żeś pani chora.

Spuścił głowę, raz jeszcze koronki przesunął w palcach—drżałam. Cichym głosem ofiarował mi dwieście pięćdziesiąt franków. Przechodziło to owiele najśmielsze nadzieje moje.

Zarumieniona, odpowiedziałam głosem drżącym, iż—przyjmuję.

Pierwszy to obcy człowiek, który był wzruszony, i pewną jestem, że wistocie dał mi tyle, ile mógł tylko. Spojrzeniem wdzięcznem wypłaciłam mu się. Widząc, że wstawszy z siedzenia, z trudnością się poruszałam, prosił mnie, abym siadła jeszcze, przyniósł mi kieliszek wina i spytawszy: w którą mam iść stronę? zawołał dziewczynki pracującej w *arrière-boutique*, aby mi towarzyszyła. A! są dobrzy ludzie na świecie!

Dziewczę wesołe pomogło mi wiele, idąc ze mną, pod rękę mnie wziąwszy i szczebiocząc po drodze. Miałam tyle pieniędzy, żem już mogła śmiało wstąpić do Daniela, któremum coś była winna za płótna.

Tu nowa dobroci niespodzianka. Daniel, widząc mnie tak wycieńczoną i dowiedziawszy się, żem była chorą, domyślił się też, żem nie musiała mieć wielkiego zapasu — i długu mojego przyjąć nie chciał, a płótno i farby przysłać zaraz obiecał, abym ich sama nieść nie potrzebowała.

Wolałam wziąć już fiakra do domu, bo napowrót trudno-by mi było powrócić, a miałam przed sobą owe straszliwe piętra i ślizkie schodki.

Spoczęłam u portiera trochę.

Powoli wdrapałam się aż na moją górkę, ale wszedłszy, tak się uczułam wyczerpaną, żem się zaraz położyć musiała.

Płótno stoi na staludze — a kto kiedykolwiek malował i zna tę rozkosz tworzenia czegoś, ten wie, co to jest za pokusa to płótno czyste, ta nicość, z której się coś ma narodzić.

Wstałam, choć osłabiona, daleko wcześniej, aby wybrać coś ze szkiców. Znowu coś naszego malować muszę; innego świata nie znam, inny mi tak do duszy nie mówi. Ja nie wiem: u nas drzewa, ziemia, obłoki mają jakąś inną fiziognomią. Nie widziałam ich dawno, ale je zachowałam w pamięci, w duszy. Tu we Francyi, zdaje mi się czasem, że jakiś obłok wędrujący po niebie od nas przyleciał, i witam go, wstydząc się mojego sentymentalizmu.

Mam kawałek lasu, który narzuciłam na płótno, za parkiem w Brzegach: ten las, z wodą na pierwszym planie, w której się przegląda, z brzegiem trochę nagim i piaszczystym, gdyby mi się dobrze wykonać udało. Pojedynczych drzew mam dużo, mogę je zużytkować. Po długiem wahaniu się wybrałam las.

Ale jakże ciężko przychodzi mi nawet rysować! Ręka mdleje. Muszę porzucać co chwila. Malować jeszcze nie podobna, położę się i spocznę.

„— Nie zajrzałam nawet do mojego dziennika, tak mnie mój las zajmował i męczył zarazem. Zaczęłam go podmalowywać Dziwna rzecz! pamięć mi tak żywo przywodzi to miejsce, w którem rysunek był zdjęty, że je nocami we snach widzę. Wszystkie szczegóły powracają, dawno zapomniane, najdrobniejszy kamyczek, światełko na wodzie.

Będzie-li to dobre?

Sił mi trochę dała ta gorączka, którą zawsze przejmuje malowanie, lecz one są jakieś inne niż te, które straciłam.

Wczasie pracy nie czuję zmęczenia; dopiero, gdy ją porzucić muszę, nagle słabnę i ledwie się do łóżka dowlokę—upadam.

Powietrze, którem tu oddycham, jest jakieś ciężkie i niepożywne. Dawniej zapach farb był mi przyjemnym, teraz się stał nieznośnym. Dusi mnie; kaszlę.

Obrazek jednak znacznie postąpił i — sprawia mi wrażenie, jakbym w nim wróciła do naszych Brzegów, których nigdy nie zobaczę.

Gospodyni mi powiada, pomimo, że widzi mnie silniejszą i pracującą, że jeszcze-bym odpoczywać powinna. Znajduje, że mizernie wyglądam.

„—Duval przyszedł o swój obraz się dowiedzieć czy o mnie? nie wiem. Wpatrzył się dziwnie w twarz moją, jakgdyby i on znalazł ją zmienioną. Wkrótce jednak zajął się obrazem, długo stał przed nim, głową potrząsał.—Spytał: kiedy będzie gotowy?

A—i ja radabym go jaknajprędzej widzieć skończonym, chociaż rozstać mi się z nim będzie trudno. Coś z mojej duszy włożyłam w niego, część siebie utopiłam w nim; będzie mi się zdawało, iż ją zabrano, odcięto odemnie.

Duval był tak niesłychanie uprzejmy, iż ofiarował się mi zaraz zapłacić. Nie mogę tego czemu innemu przypisać, tylko chęci przyśpieszenia końca, bo pewnie *pendant* jest warunkiem sprzedaży.

Z tego, co mi jeszcze od koronek zostało, co wezmę od niego za las, mogę parę tygodni wyżyć, nie pracując i chorując. Czuję się okrutnie znużoną i potrzebuję spoczynku. Jestem niby nie chora, a jednak nie zdrowa, jakby inna. To przesilenie jakieś zmieniło moją istotę. Myśli inaczej krążą po głowie; zobojętniałam, zastygłam; spoczynek bez troski zdaje mi się najwyższem dobrem na świecie.—Lecz mogęż ja odpoczywać?

„—Przez ten tydzień ani ołówka ani pędzla nie miałam w ręku. Leżałam dużo. Bawiłam się jak dziecko. Położyłam przy sobie moją dużą tekę rysunków z natury, które robiłam w Brzegach, i przeglądałam je po jednemu. Doprawdy, stałam się śmiesznie sentymentalną. Kładzione pod rysunkami daty przypominały mi dni, miejsca, osoby—dawną moją trzpiotowatość i wesołość—ojca, starego malarza, mnie samą, taką, jaką-m była naówczas.

Co to za dobrodziejstwo umieć rysować; jak mi to dziś jest drogie, co dla kogo innego nie miałoby żadnej wartości!

Dziwna rzecz, że spoczynek nic mi nie pomógł. Zdaje się, owszem, iż zrobił mnie leniwszą tylko, niemal słabszą.

Córeczka gospodyni, wyręczając mnie, przyniosła dwa małe płótna, na których miałam zrobić dwa krajobrazy; nie skusiły mnie nawet, stoją nietknięte.—Wyrzucam to sobie.

„— — Nie nawykłam do przygód nadzwyczajnych i niespodzianek; dzisiejsza zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

Około południa, gdym się jakby z przeczucia ubrała trochę i otrząsnęła z tego lenistwa, które mnie opanowało—zapukano do drzwi moich. Myślałam, że chyba znowu Duval mnie przyszedł odwiedzić, gdy w progu ukazał się człowiek zupełnie mi nieznany, nie młody, ubrany jak średniej klassy mieszczanie, jednem słowem coś mający w sobie kupca, handlarza—nie wiem.

Wcisnął się, oglądając dokoła, z miną jakąś tajemniczą, niespokojną.

Zapytałam go: czego sobie życzy?

— Chciałem w jednym interessie pomówić z panią—rzekł—pani pozwoli?

— Ale jakiż interes pan możesz mieć do mnie? nie mam przyjemności znać go.

— To nic nie szkodzi — odparł.— Porozumiemy się wprędce.

Oczekiwałam tłómaczenia, a żem sama usiąść musiała, niemogąc stać długo, wskazałam mu krzesło. Miałam czas lepiej mu się przypatrzyć, ale z twarzy, oprócz niepokoju i żywego temperamentu, nic nie umiałam wyczytać. Ubiór pewną zamożność okazywał.

— Pani robisz interessa z Père Duval? — zapytał nagle—nieprawdaż.

— Interessa? — odpowiedziałam.—Ja nie wiem czy to się tak nazwać może. Père Duval dawał mi małe roboty i kupił u mnie parę obrazków.

— Tak jest—odparł żywo przybyły. Tak jest! Od lat dwudziestu znam tego Duvala. Jest to lichwiarz bez serca, — wyzyskuje wszystkich którzy mu wpadną w ręce. Ja także obrazami i starożytnościami handluję. Tak, pani moja, i dlatego, że mi pani żal, chcę ją wyrwać ze szpon jego.

Spojrzałam nań z niedowierzaniem.

— Tak jest— dodał. — Ja także obrazami handluję, ja także zarobić muszę, ale, Duval! Co on pani zapłacił za te dwa krajobrazy?

Zamyśliłam się, niewiedząc czy mi się przed nim tłómaczyć wypadało. Gdym się wahała, współzawodnik Duvala dodał:

— Ja pani powiem: co on mógł jej zapłacić Najwyżej paręset franków za jeden.

Nie odpowiedziałam nic — wistocie niedał mi i tyle.

— A wiesz pani: co wziął za te dwie bardzo piękne roboty, które w kołach artystów nawet obudziły żywe zajęcie? Jakiś cudzoziemiec, prawdopodobnie Anglik, dał mu za nie kilka tysięcy.

— Możeż to być?—zawołałam.

— Pani, ja jestem człowiek honoru, ja potrze-

buję zarobić, ale nie wyzyskuję ludzi. Pani masz talent znakomity. Widzę, że ten człowiek, tając się, zkąd nabywa te piękne rzeczy, chce i nadal exploatować ją.

Pracuj pani dla mnie.

— Wielcem panu wdzięczna,—odpowiedziałam, ale widzisz sam, żem przebyła chorobę długą i jeszcze mi siły po niej nie powróciły.

Gość mój obrócił się na krześle, przypatrując się mieszkaniu bacznie.

— Jakże pani tu możesz być zdrowa!—zawołał. To obrzydliwa dziura, w której żyć nie podobna. Wiesz pani co—pracuj dla mnie, ja najmę mieszkanie i atelier, dam sługę. Ryzykuję? Tak? lecz będziesz pani dla mnie pracować i żadnych stosunków z tym infamisem!

Musiałam długo zbierać myśli, nim mogłam mu odpowiedzieć, że podobnej umowy uczynić mi się nie godzi, że nie mogę zaprzedawać się w niewolę, zobowiązywać do pracy, której podołać siły mi nie dozwolą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# OBOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg, ob. Nr 19).

Poświęcenie lekarzy zapełnia w książce Smilesa kart kilka. Jestto waleczność w trwaniu przy obowiązku, niewymownie wzruszająca przez swoją cichą i spokojną prostotę. Tych mężnych bohaterów miłości bliźniego nie otacza żaden szum, ani hałas trąb, w ktore dmie sława, a nawet przeciwnie: zapomina się o nich wśród wrzawy, którą tworzy szczęk broni i huk dział. W bitwie pod Wagram Dr. Salsdorf, przyboczny lekarz Saskiego księcia Chrystyana, został przy pierwszem starciu z nieprzyjacielem raniony odłamem granatu w nogę. Leżał na ziemi nieopatrzony, gdy nagle kula uderza w piersi adjutanta jednego z dowódców; adjutant pada, a krew rzuca mu się ustami, i lekarz widzi, że musi on umrzeć wkrótce, jeżeli nie ocali go szybki ratunek. Miał przy sobie potrzebne narzędzia chirurgiczne, ale oddziela ich przestrzeń, w tej chwili dla niego ogromna: może pięćdziesięciu kroków. Zbiera jednak wszystkie siły, wlecze się po ziemi, puszcza kontuzyowanemu krew i ocala mu życie. Ale już nigdy nie usłyszy za to podzięki, bo sam mdleje i zabrany z innymi rannymi do Wiednia umiera po odjęciu mu nogi z braku sił, które wyczerpał w szlachetnym czynie poświęcenia.

Gdy wojsko posuwa się na pole walki, zwykle postępują za niem wozy ambulansowe, na które odnosi się rannych, aby zkolei odwoziły ich do lazaretów polowych. Jeżeli przecież armia zostaje pobitą, jeżeli pójdzie w rozsypkę, ranni i lekarze muszą się chronić, gdzie mogą, lub idą w niewolę. W bitwie nad Almą Rossyanie podali tył, zostawiając wielką liczbę rannych; angielskie i francuzkie wojska następowały i kilkuset tamtych nieszczęśliwych zostało zniesionych na lewą stronę od pola bitwy i tam w pobliżu rzeki złożono ich na ziemi, osłonionej okopami. Na szczęście w głównej kwaterze angielskiej znajdował się lekarz, posiadający wysokie poczucie honoru i ludzkości połączone z wielką energią i szybkością działania: Dr. Thompson z 44 pułku piechoty. Choć okolica była opuszczoną od mieszkańców, zdołał on zgromadzić 400 funtów sucharów i dość rąk do pomocy, aby wydrzeć śmierci nieszczęsnych jeńców. Najpierw pożywił ich, bo nie mieli nic w ustach od 24 godzin; potem opatrzył ich rany, co trwało od siódmej wieczorem do w pół do jedenastej w nocy, lecz tymczasem ambulansowa służba angielska oddaliła się, przenosząc i przewożąc swoich rannych na okręty w porcie Eupatorii, i Dr. Thompson, wraz ze służącym swym, Janem Mac Grath, pozostali sami wpośród rannych rossyjskich i przebywali między nimi przez trzy dni i trzy nocy, paleni w dzień żarami ognistego słońca, wystawieni nocami na chłód niemal mroźny. Nakoniec udało się Thompsonowi wyprawić Rossyan pod białą flagę pokoju do portu Rossyjskiego i gdy następnego rana Kapitan Lushington z okrętu *Albion*, przeglądając okolicę odkrył nagle dwóch ziomków swoich, zostawionych samotnie na straconym posterunku obowiązku, uwielbienie jego było takie, że w pierwszej chwili nie mógł przemówić.

W Indyach w czasie powstania i cholery wielka liczba niemniejszych poświęceń wykazała godność ludzkości w szlachetnych jej przedstawicielach, których nie braknie nigdy i w żadnym narodzie.—W 1812 r. przy obleganiu Kadyxu przez Francuzów ludność była tak dziesiątkowaną na ulicach przez kule dział oblężniczych, że musiano myśleć o możliwem jej zabezpieczeniu, i skoro tylko paszcza armatnia miała wyrzucić z siebie pocisk, z wysokiej dzwonnicy, zamienionej w obserwatoryum, dawało się słyszeć jedno uroczyste uderzenie dzwonu, jako hasło, aby mieszkańcy kryli się coprędzej. Pewnego rana dzwon ten zabrzmiał, lecz kula, którą obwieszczał, została właśnie wymierzoną przeciw niemu i rozbiła go w drobne kawałki. Zakonnik, którego obowiązkiem było dnia tego sprawować urząd dzwonnika, nie zbiegł przecież: umieścił się pod drugim dzwonem i głosił miastu każdą posłaną w mury jego bombę.

W czasie tego samego oblężenia kobieta okazała podobną dzielność ducha: waleczność w cnocie. Matagorda, mały fort wysunięty poza miasto ku brzegom morza, nie miał żadnej zasłony przed kulami; mieścił się tam 140 pułk angielski, aby przeszkadzać działaniom Francuzów, a 74 Hiszpański i flotylla statków wojennych współdziałały w obronie miasta. Lecz nagle zamaskowana baterya nieprzyjaciela zaczęła dawać ognia na okręty i z takim skutkiem, że spędziła je ze stanowiska i zmusiła do schronienia się w przystani Kadyxu; a wtedy czterdzieście ośm dział i moździeży największego kalibru zostało skierowanych na mały fort. Słaby parapet runął natychmiast pod gradem kul, bomb i kartaczy, odsłaniając teraz nagle wały i piersi będącego na nich żołnierza. Bombardowanie to trwało trzydzieści godzin i w tym-to czasie stał się fakt, unieśmiertelniający bohaterskiego ducha niewiasty.

Żona sierżanta Retson pielęgnowała w kazamatach rannych. Mieli gorączkę i chcieli pić, lecz nie było wody, i wtedy Retsonowa zawołała młodego chłopaka, dobosza, aby poszedł po wodę do studni. Ale biedak jak mógł ociągał się, bo kule biły właśnie najwięcej w tę stronę, i kobieta wyrwała mu gniewnie wiadro z rąk, wyszła śmiało poza mury, spuściła wiadro do studni, a choć kula ucięła jej raz w ręku postronek od wiadra, nawiązała go, naczerpała wody i wróciwszy z nią, napoiła spragnionych.

Bombardowanie fortu nie ustawało tymczasem, strzał tak padał za strzałem, że drzewce, na którem wywieszona była chorągiew Hiszpanii, zostało ścięte sześć razy w przeciągu godziny, i wódz naczelny sir Tomasz Graham, następnie lord Lynedoch, widząc, że dłuższe trzymanie się jest aktem szaleństwa, kazał łodziom okrętowym podpłynąć i zabrać załogę, którą można było nazwać szczątkami już tylko 140 pułku. Zanim jednak ustąpiono, fort został zburzony pod ogniem działowym, a major Lefebre, który przewodniczył temu, padł ostatni na ruinach, które też chciał opuścić ostatni. Łodzie przyjęły wtedy mężnych, i odwiozły ich do Kadyxu, a Retsonowa, będąca między niemi, dostała od tej chwili przezwisko *niewiasty zpod Matagorda.*

Czem miłosierna a silnego ducha kobieta może być na polu bitwy: wykazała dopiero i dowiodła miss Nightingale. Dzieje jej są powszechnie znajome, a czytelnicy tego pisma znają je szczegółowo. Była panną bogatą z wysokich sfer towarzystwa, życie mogło jej dać wszystko, czego oczekują po niem szczęśliwi wybrańcy losu, a ona uczyniła je jednym ciągiem poświęceń. Wyuczywszy się pielęgnowania chorych i opatrywania rannych w zakładzie dyakonis gdzieś nad Renem, oddała się najpierw na usługę miłosierną w Londyńskim szpitalu chorych nauczycielek, a gdy wybuchła wojna Krymska, popłynęła za wojskiem i znosząc niewypowiedziane trudy, ogromne niebezpieczeństwa, ciężką chorobę, spełniła wielkie dzieło miłosierdzia i patryotyzmu: zorganizowała pielęgnowanie rannych i chorych, urządziła je na nowych zasadach, przyjęła w niem naczelnictwo i nadzór ogólny, przyczem trzeba jej było rozwinąć siłę niekobiecą, walczyć z rutyną i jej przesądami, a więcej nawet ze złą wolą, z zazdrością, może nawet drapieżnością na zysk chciwą. Pokonała wszystko, ocaliła życie tysięcy i pozyskała sławę, honory, wdzięczność całego kraju: pomnik wzniesiony sobie za życia, ale przewyższała to wszystko miłość wojska, cześć oddawana jej przez żołnierzy, jak świętej. Wiele rannych nie znało jej nazwiska i przezwano ją też: „The Lady of the Lamp“, bo tak ją widywano wśród nocy, przebywającą kurrytarze i sale, pochylającą się nad łóżkami. Żołnierze układali na jej cześć wiersze, śpiewali pieśni, które przejdą w skarbnicę poezyi ludowej i stworzą legendę o świętej dziewicy z lampą.

W jej obecności nigdy nie wymknął się z ust prostych wyraz grubiański, jej przytomność uciszała jęki, bo przykład dodawał męztwa, a łagodne usiłowania budziły w piersi wojowników uczucie religii i wysokie pojęcie powołania swego. Mówiła biedakom o Bogu i ojczyznie, nie zapominając niemniej o rodzinie i słodkich węzłach, serca ludzi wiążących. Pisywała w ich imieniu, lub przyjmowała listy, oraz oszczędności, do których namawiała, przypominając dom w kraju zostawiony, żonę, dzieci, lub starych rodziców i ukochaną dziewczynę. Potem też, gdy po skończonej wojnie wróciła do ojczyzny ze słabym ledwo-że tchem życia w piersi, otoczyło ją takie uwielbienie kobiet ludu angielskiego, że klękano przed nią, aby ucałować kraj jej szaty.

Towarzyszką jej w Krymie i pomocnicą była Miss Stanley. Pod jej rozkazami zostawał drugi oddział pilnowaczek: pięćdziesiąt ich było i kilkanaście pań ochotnic, z którym-to pocztem udała się do Konstantynopola; dozorując w morskim szpitalu w Therapei, założyła obok tego nowy szpital wojskowy. Po powrocie do kraju zajęła się miłosiernie wdowami i sierotami po poległych. Znała cierpienia żołnierzy, znała ich rozpacz, z jaką umierali, myśląc o losie dalekich, a nawet w godzinie ostatniej niepożegnanych istot drogich: na nie więc skierowała teraz tkliwe serca swego uczucie. Nabyła w Londynie, w dzielnicy Westminsterskiej obszerny dom z ogrodami, gdzie założyła wielką pralnią, otrzymała od rządu dostawę bielizny dla wojska i szycie mundurów i dawała w ten sposób pracę biednym kobietom, osamotnionym przez okropności wojny. Miłosierdzie jej było przecież niewyczerpane i nie poprzestało na tej dobroczynności, która mogła płynąć słodko z uczuć pięknego serca kobiety. Nałożyła na siebie cięższą, przykrzejszą pracę: w obozach poznane istoty nieszczęsne, upadłe, odepchnięte od współczucia ludzi, w niej znalazły litościwą Samarytankę. Garnęła ich do siebie, aby podnieść, z ran nędzy i wstydu uleczyć, i one zarówno znajdowały u niej pomoc: pracę, w oddzielnych warsztatach jej zakładów. Niemniej zasłużona w pracy i poświęceniu od miss Nightingale, tem tylko jej ustępuje, że od tamtej, *Świętej z lampą*, wyszła myśl pierwsza, z gorącego uczucia zrodzona.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# LISTY Z ZAGRANICY

przez

**J. I. Kraszewskiego.**

Wiosna. — Chłód. — Zastyganie. — Listy G. Sand z lat 1831 do 1836.—Klucz charakteru Sanda.—Autorstwo.— Wenecya.—Sąd o społeczeństwie i obowiązkach.—Cherbulieza „Czarni i czerwoni“.— Hektora Malot „Une femme d'argent“. — Anegdota z nowych pamiętników St. Simona. Cavoye polskim królem.

Zimna, smutna, leniwa wiosna! Na południu pożegnaliśmy ją uśmiechniętą, całą w różach, won-

ną, bujną, a tu.... w górach śnieg pada. Akacye, które w roku przeszłym z dziecinnem zaufaniem dwa razy puszczały listki, dwa razy marzły i dopiero za trzecim razem rozzieleniały—w tym roku, jakby nauczone smutnem doświadczeniem, nie rozwijają się do połowy Maja. Bzy nawet nie kwitną jeszcze. Wszyscy utrzymują, że się coś w porządku zwykłym naszej ziemi zmieniło — ostyga. A my?

Zdaje się, że także zapały dawne, rojenia i marzenia znacznie ochłodły.

Nigdy mi się tak niezmierna różnica ducha czasu czuć nie dała, jak świeżo, gdy czytam wyjątki z korrespondencyj G. Sand, które *Nouvelle Revue* ogłosiła. Listów tych jest piętnaście tylko, z lat od 1831 do 1836 r. Jakże w nich czuć jeszcze i młodość autorki i wiosnę wieku pełnego nadziei, rzucającego się ku ideałom, nieprzeczuwającego rozczarowania!

Pierwszy list jest do matki, ostatni do syna. Czegóż tam niéma, w tym ostatnim?!

Trzeba wyznać, że wybór listów jest z wielką trafnością dokonany. Dano tylko istotnie charakterystyczne, malujące doskonale G. Sand i chwile, w których były pisane.

Zdaje się, że pierwszy tom ciekawego tego zbioru, zapowiedzianego już dawno, wyszedł lub wychodzi. Ogłoszenie długo się pono rozbijało o wielkie trudności. Niektórzy korrespondenci G. Sand protestowali, innych pamięć uszanować należało. To więc, co dostaniemy, ułamkowem być musi i innem być nie mogło.

Gdyby pani Sand nie wyznała tego otwarcie i po kilkakroć w swych listach—najsilniejsze wrażenie, jakie czynią, byłoby zawsze to, iż nad wszystko—przenosiła swobodę i dla niej też poświęcała—wszystko.

„Pana nad sobą nie ścierpię“, powtarza ciągle.

„Dla mnie—kochana matko—powiada w pierwszym liście, swoboda myślenia i działania jest najwyższem dobrem.... Nie mogę znieść cienia przymusu: to główna wada moja. Wszystko co mi narzucają jako obowiązek, staje się dla mnie nienawistnem; co mi wolno uczynić z własnej woli, czynię z całego serca. Taki charakter jest często nieszczęściem wielkiem, — moje winy, gdy je popełniam, wszystkie ztąd płyną“.

W tych kilku słowach, zdaje się nam, p. Sand daje klucz do pojęcia całego życia swojego. Słówko jeszcze: „Jeśli się spotykam z sercami, które moje niewinne fantazye biorą za hypokryzyą występną, nie zadaję sobie pracy tłómaczyć się przed niemi. Czuję, że mnie ci ludzie nudzą, nie rozumieją i obrażają. Nie mówię nic i idę precz. Jestżem winną? Nie żądam ani zemsty, ni zadośćuczynienia; złą nie jestem — zapominam. Mówią żem lekkomyślna, bo nie umiem nienawidzieć i nie zadaję sobie nawet pracy usprawiedliwienia się“.

W tych pierwszych latach autorstwa swego—o zgrozo—Sand powtarza z naiwnością cyniczną prawie, że pisze tylko — dla zarobku. „Naganiają mi, jak się zdaje (mówi), że pracuję do *Figara*. Śmieję się z tego. Żyć trzeba, a mam tyle dumy, że sama chcę na chleb zarobić. *Figaro* tak dobrze, jak inne pismo, może prowadzić do celu“.

„Dziennikarstwo jest koniecznością, przez którą przejść potrzeba. Wiem, że ono bywa obrzydliwe; ale niekoniecznie potrzebuje sobie ręce walać; a i bez tego, spodziewam się, dojdę do celu. Dzienniczek *Figaro* żyje oppozycyą i potwarzą. Idzie o to, aby jednej nie brać za drugą. Licha to rzecz zarabiać siedm franków za kolumnę, ale wielka rzecz stać się w takim biurze redakcyjnem potrzebną“ i tam dalej.

W listach z Wenecyi—przeżytej tam tragedyi, dramatu—nazwijcie to jak chcecie, niéma ani znaku; jest entuzyazm dla czarującej królowej Adryatyku tylko.

Jedenasty list (Czerwiec 1835 r.), jest nadzwyczaj znaczący, lecz jakże zimny, jak rozczarowany, jak rozumny! a razem jak dziwaczny. Zwrót w nim od pierwszych teoryj swobody i uprawnienia namiętności—ogromny. „Społeczność jest złą i okrutną (?) odzywa się w końcu. Nasze namiętności ani złemi, ni dobremi nie są. Trzeba z niczego coś robić. Nie wielka to sztuka kochać. Najpospolitsza gryzetka pisze śliczne listy miłosne i poświęca się z taką ofiarnością, jak muza. Trzeba pracy twardej i woli ogromnej, aby z namiętności zrobić cnotę. — Jeżeli chcemy podnieść społeczność, starajmy się podnieść, uszlachetnić namiętności nasze. Poddając się im, dokonamy rzeczy bardzo pospolitej i godnej tylko dostarczyć treści do wodewilu lub nowelli pp. Scribe, Balzacowi, G. Sand (sic) i im podobnym. Nie są to ludzie, którychby należało brać za wyrocznie w sprawach rozumu i mądrości. Piszą powieści dla zabawy (!). „Opowiadaliby o życiu *jakiem ono jest wistocie*, gdyby mieli za zadanie moralność“.

Wstrzymujemy się od dalszych cytat; wkrótce też zapewne ciekawa książka w handlu się ukaże, bo „Nouvelle Revue“ zwykle zapewnia sobie takie nowalie w chwili, gdy dzieła wyjść mają na widok publiczny. Tak było z listami Merimée do Panizzego i z innemi.

Znany czytelnikom naszym Cherbuliez, którego „Władysław Bolski“ miał u nas pewien rozgłos, a niemniej i „Samuel Brohl“, chociaż ostatni mniej na to zasługiwał, wydał świeżo powieść nową *Noirs et rouges*, „Czarni i czerwoni“, w której niemniej może jest talentu, niż w poprzedzających, lecz użycie go, wykonanie dzieła daleko mniej szczęśliwe.

Pojedynczo wzięte epizody niektóre z wielką umiejętnością techniczną, jeśli się tak wyrazić godzi, są skreślone; całość niekształtna i chybiona. Panna Maulabret, bohaterka powieści, aż do połowy jej obudza żywe zajęcie. Walka, jaka się w jej sercu i wyobrażeniach toczy, obiecuje dramat pełen życia. Nagle, piorunowo wszelki opór z jej strony ustaje; opiekun, który także zapowiadał się jako przeciwnik małżeństwa projektowanego równie dziwacznie zmienia zdanie; rozpoczyna się jakby druga, do pierwszej połowy książki przyszyta, część — dorobiona i nierównie od niej mniejszej wartości. Ukochany przez bohaterkę, nie obudza w nas wielkiego szacunku, ona sama objawia się jako istota słaba i niepewna siebie, a z otoczenia czarni jeszcze najjaśniej i najpiękniej wyglądają. Zużytego, oklepanego p. Mongiron, poważnie brać niepodobna; przypomina on aż „Tajemnice Paryża“ E. Sue i jego jezuitów.

Gdybyśmy nie mieli przekonania, że największy talent pośliznąć się może, należałoby wnosić z „Czarnych i Czerwonych“, że p. Cherbuliez całkiem się zużył i wyczerpał. Czarni jego zarówno jak Czerwoni nie obudzają wielkich sympatyj, a choć studia klasztoru i szpitala są dosyć staranne, autor niewiele w nie wlał życia. Samo zawiązanie, układ, rusztowanie powieści—dziwnie zaniedbane.

Drugi u nas też znany, autor uwieńczonej powieści *Bez rodziny*, Hektor Malot, napisał także coś nowego — i — niestety, równie jak poprzedzająca... nieudatnego. Tytuł nie daje się na nasz język przetłómaczyć ściśle biorąc, i mamy prawo cieszyć się z tego, bo fakt ten dowodzi, iż podobna istota nigdy u nas nie istniała: *Une femme d'argent...*

Bohaterka jest czemś tak poczwarnem, tak osobliwem, że choć w tym rodzaju wszystko się zdawało wyczerpanem, jest rzeczywiście oryginalną. Nie przeczym, że w dzisiejszym świecie, we Francyi, jaką teraz widzimy, może coś podobnego jest do pewnego stopnia możliwem. U nas nawet treść powieści powtórzyć się nie daje.

Kobieta, która uchodzi za najlepszą z żon i matek, mająca miłość dzieci, nieograniczone zaufanie mężowskie, nie namiętna, nie marząca, zimna jak lód, rzucająca się dla zrobienia pieniędzy w najohydniejszą kałużę; ztąd wywiązujący się dramat okropny, wstrętliwy: oto wszystko.

Postaci wchodzące do powieści są dosyć szczęśliwie scharakteryzowane, lecz, niestety, nie nowe i nie odżywione w ten sposób, by zbyt ku sobie pociągały.

Wszystko zresztą poświęcił autor głównej swej bohaterce, której ani nam wytłómaczyć, ani znośną, ni politowania godną, nie umiał uczynić.

Tylkoco nie widać jak charakter ten i myśl główna na scenę będzie zużytkowaną i gotowa z Naną współzawodniczyć. Jestto też w swym rodzaju Nana.

Wiadomo, że w ostatnich czasach przez otwarcie archiwów we Francyi wiele ciekawych dawnych rękopism z pyłu i zapomnienia dobyto. Między innemi są papiery po sławnym St Simonie, który tak żywy a bezlitosny dał obraz społeczeństwa za panowania Ludwika XIV. W dodatkach do jego pamiętników znajduje się anegdota o niejakim margrabi de Cavoye, którego żona była niesłychanym na owe czasy przykładem miłości małżeńskiej. Ów markiz był bardzo dowcipnym mistyfikatorem.

W r. 1674 wychwalano raz przed nim w Fontainebleau niejakiego p. Manicamp, jako człowieka pełnego dowcipu, nauki i rozsądku. Cavoye zniecierpliwiły te pochwały. Moi panowie, rzekł, idę w zakład, że ja, który się nie chlubię ani nauką, ani dowcipem, ani rozumem, waszemu Manicampowi wmówię, co zechcę, i on mi uwierzy; największą niedorzeczność, jeśli zapragnę, dam mu połknąć.

Zakład stanął. Cavoye, obcując z Manicampem, począł udawać smutnego i w myślach pogrążonego. Trwało to dni pięć czy sześć. Manicamp, zaniepokojony, zwrócił na to innych uwagę; nikt nie mógł odgadnąć przyczyny tego stanu ducha.

Nareszcie Manicamp raz po obiedzie wyciągnął na przechadzkę przyjaciela na parter zwany Tybrowym, i niemogąc dłużej ciekawości swej powstrzymać, zapytał go: co mu jest? Tego właśnie p. Cavoye było potrzeba. Odpowiedź przecedziwszy przez zęby, udawał jak wprzód w smutnych myślach pogrążonego. Po wielkich naleganiach Cavoye wreszcie odezwał się, że dla dwóch przyczyn na zapytanie jego odpowiedzieć nie może: naprzód, iż szło o wielką tajemnicę, która, wprawdzie jego samego się tylko tyczyła, powtóre, że gdyby mu ją zwierzył, nietylkoby wierzyć nie chciał, ale mógłby go wziąć za waryata.

Po wielkich naleganiach ze strony Manicamp'a, Cavoye zwierzył mu się naostatek, powtórzywszy, iż będzie go za szalonego miał, gdy mu powie o co idzie, że: niewiadomo jak i którędy sława jego męztwa doszła do Polski (było to czasu elekcyi Sobieskiego), że Polacy zawikłani byli w wielką wojnę, iż przez zazdrość wzajemną wykluczyli od tronu Piastów, a niedowierzali od czasów Henryka III książętom obcym: jednem słowem że — postanowiono wybrać królem polskim... Cavoye.

Zdziwiony Manicamp począł dopytywać o bliższe szczegóły. Na to Cavoye odparł chłodno, iż nie wie nic więcej nad to, co mu przed kilku dniami mówił p. de Pomponne, i że wczoraj w tym przedmiocie powołanym był przez króla, a kurryera o elekcyi spodziewano się cochwila. Cavoye począł się potem rozwodzić nad nadzwyczajnem szczęściem, jakie go spotkać miało, z żalami, iż będzie musiał Francyą opuścić i t. p. Wszystko to odegrał z taką prawdą, tak doskonale, iż Manicamp mu uwierzył.

Dopiąwszy celu, Cavoye pochwalił się z tem przed tymi, z którymi się założył i poszedł całą rzecz opowiedzieć królowi. Król wierzyć nie chciał z początku i na próbę publicznie spytał Cavoye przy Manicampie: czy nie przybył kuryer spodziewany? Manicamp uśmiechnął się, z porozumieniem spoglądając na przyjaciela; a gdy go inni na słowo wyciągać zaczęli, opowiedział im poważnie o co szło. Wybuchły śmiechy. Manicamp stał przy swojem i ledwie mu wyperswadowano, że został zmistyfikowany. Chciał zato zabić w pojedynku markiza, ale przyjaciele ich pojednali.

---

# Korrespondencya zagraniczna.

---

Wydawnictwa Towarzystwa Pedagogicznego. — *Sadowictwo* Rohringa.—*Nauka ręcznych robót kobiecych* przez Anielę Grzywińską. – *Geografia* przez prof. Benoniego i Tatomira.—*Ziemie polskie, lekcye geografii, połączone z etnografią*, przez Julią Selingerową. Podręczniki dla szkół przemysłowych. — Biblioteka dla młodzieży.— *Dzieci i ptaszki*, przez W. Bełzę. — *Śpiewnik* przez Czubskiego.—*Sto wierszyków*, przez Szmettauera.—Telefon ulepszony przez Machalskiego. — Rozmowa z Brodami.—Album

Pamiątkowe dla arcyksięcia Rudolfa. — Teatr.—Nowa dyrekcya. Występy gościnne pp. Święckiej, Chomińskiego i Rapackiego.

Lwów, w Kwietniu 1881 r.

(Dokończenie)

Młody Wojciech Kossak dał także dwie akwarelle, mianowicie: *Odjazd z Łupkowa* i scenę z pobytu we Lwowie, gdy cesarz, przejeżdżając w odkrytym powozie przez miasto, obaczywszy kobietę, chcącą podać mu prośbę, każe powstrzymać konie i wysiada z powozu dla odebrania jej własnoręcznie. Zwłaszcza drugi ten obraz wykonany jest z wielkim talentem. Młody artysta czyni ogromne postępy, idąc torem ojcowskim. Osoba cesarza wykończona bardzo starannie, jak niemniej i inne postacie tu się znajdujące, a konie w cesarskim powozie przypominają na pierwszy rzut oka konie Kossakowskie. *Odjazd z Łupkowa*, malowany także bardzo starannie, nie nastręczał sam przez się artystycznej treści, podobnie jak sala balowa. Pociąg dworski w chwili odjazdu, cesarz stojący na stopniach wagonu, dwóch magnatów węgierskich za nim, a na perronie portretowana grupa osób żegnających odjeżdżającego monarchę w postawie pełnej uszanowania: oto z czego się składa niniejsza kompozycya, dobra jako wierne powtórzenie rzeczywistości. Fantazya artysty nie miała tutaj pola, aby się rozwinąć; fotografował on na co patrzył na kolejowej platformie.

Ze scen krakowskich mamy tu jeszcze Lipińskiego *Cesarza w Sukiennicach*, otoczonego składającemi mu hołdy gromadami włościan, przybyłych w owym orszaku weselnym, który widzieliśmy tak dziarsko przejeżdżający rynkiem po pod rezydencyą cesarską *Pod Baranami*. *Dożynki* z orszakami rześkich krakowianek, niosących olbrzymie wieńce zbożowe, ustrojone we wstęgi i godła stosowne, odmalował Ajdukiewicz. Sceny powyższe miały już z natury rzeczy wiele malowniczej treści, dającej się w rozmaity sposób wyzyskać. Przeciwnie, chwila, w której cesarz zwiedza zamek wawelski, ponieważ tutaj nikt więcej oprócz orszaku cesarskiego z kilku osób złożonego, nie był przypuszczony na podwórze zamkowe, nie nastręczała artyście materyału do szerszej kompozycyi. Poważnie, wspaniale ciągnące się wkoło dwupiętrowe krużganki stanowią tło obrazu, zwracając ku sobie całą uwagę widza. Z tych łuków starożytnych przemawia przeszłość. Ponura rzeczywistość zastąpiła tu kompozycyą.

Sceny z pobytu we Lwowie, rzecz naturalna, po większej części lwowscy odtworzyli malarze. Przed wszystkiemi zwraca uwagę Rodakowskiego *Zwiedzenie sali sejmowej* w nowym gmachu sejmowym. Wszystkie tutaj osoby, a jest ich kilkadziesiąt, wiernie portretowane. Ugrupowanie bardzo malownicze. Oprócz głównej grupy, złożonej z duchowieństwa i innych znakomitszych dostojników, których zastępca marszałka, Pietruski przedstawia właśnie cesarzowi, tak główne wnijście, jak schody w rozmaitym kierunku prowadzące ku galeryom i same galerye zapełnione są licznym pocztem osób, z grona posłów sejmowych i innych znakomitości krajowych, które się tutaj w tej chwili znajdowały. Tło architektoniczne pięknie uwydatnia malowniczą całość. Rodakowski ma wielkie poczucie kolorytu. Bogactwo barw doskonale dobranych zlewa się tu w przepyszną harmonią i nadaje uroczy powab obrazowi. Prawda, że w ogóle malowniczość strojów we wszystkich tych kompozycyach ułatwiała malarzom zadanie, podnosząc sama przez się wrażenie, lecz nie każdy malarz potrafi podobnie Rodakowskiemu skorzystać z materyału i tę różnobarwność tak, jak on, szlachetnie i umiejętnie sharmonizować. Kossak imponuje rysunkiem i kompozycyą, Rodakowski—szlachetną harmonią kolorytu.—*Przyjęcie w cerkwi św. Jura* malował Kozakiewicz. Jesteśmy na rozległym placu zapełnionym tysiącami widzów tłumnie nagromadzonych. W dali, na tle widoku wznosi się wspaniała świątynia o włoskiej kopule. Przed bramą wiodącą do niej orszak duchowieństwa unickiego w pontyfikalnych pozłocistych szatach z mitrami na głowie oczekuje z powitaniem i błogosławieństwem na idącego ku drzwiom świątyni monarchę. Kompozycya ta różni się całkowicie od poprzednich. W tamtych wszystkich koncentrowała się uwaga widza zawsze na pierwszym planie, na głównej naczelnej grupie. W niniejszym obrazie nie zajmowały artysty pojedyncze grupy; za główne zadanie wziął on sobie perspektywiczną całość obrazu, i przez nią zamierzył wywołać pożądane wrażenie. Oko widza gubi się w rozległym widoku, szerokie mając przed sobą przestrzenie.—W tym samym sposobie pomyślana jest kompozycya Wojciecha Grabowskiego, przedstawiająca cesarza zwiedzającego kopalnie nafty w Borysławiu. Dzień dżdżysty, posępny — cały widnokrąg zamglony. Pomimo ulewnego deszczu zgromadziły się tłumy ciekawego ludu. W dali, pod namiotem na wzgórzu, cesarz w płaszczu podróżnym, otoczony swym orszakiem, przypatruje się wydobywaniu oleju skalnego z najbliższego szybu. Przestrzeń wokoło zapełniona cembrowinami mnóztwa szybów ze źródłowisk nafty. Jedna z kobiet podnosi w górę małe dziecię ponad głowy tłumu, aby obaczyło także świtę cesarską. Dobrze pomyślany ten obraz zaleca się dobrą perspektywą i pięknie świadczy o talencie Wojciecha Grabowskiego. Brat jego starszy, Andrzej, znakomity nasz portrecista, obrał sobie najmniej wdzięczną scenę: *Odwiedziny lwowskiej szkoły leśniczej*. Przed bramą piętrzącą się wysokim łukiem w górę, ozdobioną w zieleń i godła rozmaite, grono profesorów wita monarchę. Szczupłe ramy obrazu, ścieśnionego na małej przestrzeni przed wnijściem budynku szkolnego, nie nastręczały artyście pola popisu, tembardziej, że Grabowski nie jest akwarellistą z zawodu jak Tepa lub Kossak. Główną tedy zaletą jego obrazu jest portretowane podobieństwo osób składających tę grupę.—Raczyński odmalował *Przyjęcie w Drohowyzkim zakładzie sierot*. Na obszernym dziedzińcu Zakładu przyjmuje monarchę kurator książe Karol Jabłonowski, i przedstawia dyrektora pana Juliusza Starkla. Wszystkie sieroty wyszły na powitanie monarchy; uszykowane grupami na podwórzu, schodach i krużgankach, zapełniają głównie całe tło obrazu. Dziewczątka, w bieli, z bukietami w ręku, sypią kwiaty pod stopy cesarza. Jest wiele przestrzeni i powietrza w tym obrazie. Malarz miał tu atoli trudne zadanie stworzyć jakąś rozmaitość w tej wielkiej liczbie dzieci, jednostajnie ubranych i porządkiem ustawionych. Główki, nóżki i całe postacie tej uszykowanej w rozmaitych kierunkach gromadki, tak są podobne do siebie jak ich ubiór zakładowy.—Oile z powodu tej jednostajności trudny miał przedmiot p. Raczyński, o tyle bogaty malowniczością obrał sobie Rybkowski, mianowicie *Orszak weselny Huculski* przeciągający przed cesarzem na wystawie etnograficznej w Kołomyi. Cała ta scena, wiernie z natury skopiowana pociąga powabem swej oryginalności. Na czele orszaku postępują, otwierając pochód, dwaj Huculi w szkarłatnych guniach, we wzorzysto haftowanych koszulach, z mosiądzem nabijanemi pasami, w kapeluszach z szerokiemi skrzydłami i z długiemi na kilka łokci *trembilami*, owem wyłącznie huculskiem narzędziem muzycznem szczególniejszego rodzaju. Przy odgłosie tej muzyki posuwa się orszak weselny konno, panna młoda i drużki na koniach, podobnie jak pan młody i reszta orszaku, wszyscy w strojach odświętnych. Widok ten przenosi nas żywcem w okolice Żabiego, w góry szczególniejszym powabem urocze, gdzie *Czeremosz szumi po skale, a trawa w pas się podnosi*.

Obraz Matejki, przedstawiający *Cesarza w grobach królewskich na Wawelu przy trumnie Sobieskiego*, ma nadejść temi dniami. Spodziewają go się lada chwila. Obraz zaś Tepy, zaledwo w połowie podmalowany, nie może być na czas ukończony i dopiero później dodatkowo będzie odesłany do Wiednia dla umieszczenia w pozostawionem dlań miejscu w albumie. Tepa wybrał sobie przedmiot najwięcej dający pracy, albowiem *Przyjęcie deputacyi Rad powiatowych*, zaczem sto kilkadziesiąt postaci składać będzie ten obraz, a znając sumienność miniaturowego wykończenia, właściwego akwarellom Tepy, nie można się dziwić, że nie mógł on zdążyć z ukończeniem rozpoczętej pracy na oznaczony termin. Tepa celuje, jak wiadomo, w przedstawianiu postaci typowych, a że deputacye Rad powiatowych składały się z osób wszystkich warstw społeczeństwa i wszystkich okolic kraju, z szlachty, włościan, żydów, małomieszczaństwa i t. p., przeto *Przyjęcie* będzie przepyszną galeryą najwydatniejszych typów całej ludności galicyjskiej.

Wszystkie te akwarelle będą pomieszczone w umyślnie na to przysposobionej szafce, której stolarszczyzna ozdobiona jest artystycznemi rzeźbami, przez kilku tutejszych rzeźbiarzy wykonanemi. Najpiękniejsze z tych rzeźb, mianowicie ornamenta i kapitele słupków podtrzymujących fryz szafy i inne tym podobne ozdoby arabeskowe i rzeźby przejrzyste, tudzież herby, wykonane są w pracowni professora politechniki, p. Marconiego. Szafka ma kształt wązkiego biurka, otwieranego w ten sposób, jak zwykłe biurka do pisania, na czterech nogach, pięknie rzeźbionych. Na drzwiczkach biurka umieszczone w płaskorzeźbie dwie postacie dziewczęce, Mazurka i Rusinka, z wieńcami kwiatów. Na fryzie rzeźbiona grupa przedstawia *Wjazd wesela krakowskiego* podczas bytności cesarza w Krakowie, a na szczycie szafki umieszczona tarcza herbowa Austryi trzymana przez dwa geniusze. Szafka jest z drzewa orzechowego rozmaitych odcieni. Kosztuje 800 guldenów, z czego, ma się rozumieć, najwięcej zabrały rzeźbienia.

Na zakończenie słów parę o teatrze. Scena nasza rozpoczęła nową erę. Od Wielkiejnocy objął dyrekcyą p. Miłaszewski i cały ten tydzień jest jakby jednym ciągiem uroczystości scenicznych, występów gościnnych i tryumfów nowej dyrekcyi, witanej z powszechną, szczerą, a rzec-by można, chwilami do entuzyazmu dochodzącą sympatyą. Publiczność widzi i czuje, że scena dostała się w ręce doświadczone i wprawne, i za każdem przedstawieniem przekonywa się coraz bardziej, że nowy dyrektor, przejęty gorącą chęcią podniesienia sceny, postanowił nie szczędzić w tym celu kosztów ni trudu. Jeżeli z początku żywione tendencyjnemi podszeptami osobistych nieprzyjaciół p. Miłaszewskiego, były uprzedzenia przeciw niemu i objawiało się tu ówdzie powątpiewanie o przyszłym rozkwicie sceny pod jego kierunkiem, nieufność ta rozwiała się już dzisiaj i znikła zupełnie: tak dobrze umiał p. Miłaszewski zaraz w pierwszych chwilach zainaugurować swą dyrekcyą.—Już pierwsze przedstawienie, złożone z prologu napisanego przez J. I. Kraszewskiego, z *Krakowiaków i Górali* i gościnnego występu pani Święckiej, wypadło ze wszech miar świetnie i bardzo przychylnie usposobiło publiczność dla nowej dyrekcyi. Wszystko, co się tylko mogło przyczynić do podniesienia wrażenia, było zastosowane ze smakiem i znajomością wymagań sceny. Doskonała reżysserya, doborowy i liczny personal, nowe, śliczne dekoracye pędzla dekoratorów wiedeńskich, ozdobne umeblowanie sceny i nowe, bogate i gustowne stroje: o wszystko to postarał się Miłaszewski, aby zamknąć usta swym przeciwnikom i przekonać czynem o szczerej chęci dopełnienia zobowiązań podjętych względem sceny i publiczności. Na drugie przedstawienie dano tragedyą Asnyka *Kiejstut*, także z przepysznemi nowemi dekoracyami i kostiumami. Jestto utwór pełen prześlicznych myśli, posiadający więcej liryzmu niżeli siły dramatycznej i scenicznej architektoniki, co nie ujmuje mu wszakże wysokich piękności. Dalsze występy p. Święckiej w *Wielkim człowieku* Al. Fredry, w *Naszych wieśniakach* i kilku innych pomniejszych komedyjkach, jak pieścidełka z repertoaru p. Święckiej wyjętych, były jednym ciągiem hołdów artystycznych składanych w postaci bukietów, wieńców, oklasków, któremi zasypywano artystkę za każdem wystąpieniem. Od czasu występów Modrzejewskiej nie pamiętamy takiego entuzyazmu w teatrze. Pierwszy tydzień nowej dyrekcyi poświęcony był przeważnie gościom warszawskim. W *Zemście* Fredry wystąpił Chomiński; obecnie zapowiedziane są występy gościnne Rapackiego. Teatr codziennie przepełniony. Węzeł sympatyczny pomiędzy publicznością a nową dyrekcyą zacieśnia się coraz bardziej na każdem przedstawieniu.

*Władysław Zawadzki.*

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Komitet wsparcia głodnych Kurpiów ma na czele hr. Augustową Potocką z Wilanowa.

Szkoła koronek hr. Włodzimierzowej Dzieduszyckiej, której okazy znajdują się w Muzeum przemysłowem we Lwowie, istnieje we wsi Pieniaki przy szkółce wiejskiej. Założona od kilku miesięcy dopiero, ogranicza się dotąd na nauce koronek klockowych. Wielką zaletą szkoły jest, że odpoczątku poddawane są uczennicom wzory, odznaczające się dobrym smakiem. Wyrabia to poczucie piękna artystycznego, konieczne przy zawodzie koronkarki.

Czeska poetka, zajmująca odznaczające się wielce miejsce w literaturze swego kraju, oraz redaktorka tygodnika dla kobiet: „Żeńskie listy“, Eliszka Krasnohorska, otrzymała jedną z nagród na konkursie powstałym z zapisu Filipa Czerniaka Puchmierzickiego w celu nagrodzenia najlepszych dzieł blleetrystycznej treści, wyszłych w języku czeskim w ciągu ostatnich trzech lat. Pierwszą nagrodę: 400 złr., otrzymał Swiatopług Czech za zbiór poezyj „Nowa sbirka verszowanych praci“. Jarosław Vrchlicki za dwa tomy poezyi pod tytułem „Mythy“ i wspomiana wyżej pisarka za tom poezyi „Slowanskemu jihu,“ (południe) otrzymali dwie drugie nagrody po 200 złr.

Panna Bohuslawa Keck, rodem z Pragi, która, odbywszy studia medyczne w Zurychu, otrzymała tamże stopień doktora medycyny, wróciła do rodzinnego miasta, aby praktykować, lecząc choroby dzieci i kobiet. Jest to pierwsza doktorka czeska, i życzyć jej należy takiego wzięcia, jakie w mieście naszem zyskała pierwsza doktorka polska, panna Tomaszewiczówna, której klientela kobieca codzień wzrasta i już powodzeniem nazywać się może. Dyssertacya p. Keck napisana na doktoryzacyą drukować się będzie w lekarskim piśmie Prazkiem.

Panna von Diest, Belgijka, od lat kilku praktykująca w Londynie jako lekarka kobiecego szpitala „Womans Hospital“ otrzymała pozwolenie złożenia examinu w ojczyźnie swojej i udała się w tym celu do Bruxelli. W Monachium panna von Tautphonus skończyła z najwyższem odznaczeniem humanistyczne gimnazyum Ludwika i postanawia w dalszym ciągu poświęcić się studiom medycznym, najpierw w uniwersytecie Monachijskim, następnie w Heidelbergu, gdzie ma nadzieję być dopuszczoną do doktoryzacyi. W Bawaryi, w miejscowości Schwedt, po śmierci sołtysa gmina wybrała na jego następcę pozostałą wdowę. Chodzi o to: czy urząd wyższy potwierdzi wybór gminy?

W San Francisco dwóch adwokatów płci żeńskiej: Laura de Force-Gordon i Klara Folz stanęły przed kratkami sądowemi, jako obrońcy dwóch stron processujących się ze sobą o sukcessyą.

Amerykański *New-York Herald*, pisze że w Stanach Zjednoczonych najmniej 60 patentów na wynalazki otrzymują rocznie kobiety. W 1880 wydano ich 70; w ogóle są to wynalazki w zakresie gospodarstwa domowego i pracy kobiecej; między opatentowanemi wynalazkami z 1880 r. znajdują się: maszyna do prania, ulepszone żelazko do prasowania, przyrząd do skrobania ryb, nowy przyrząd do poruszania maszyny do szycia, naczynie do chłodzenia mleka, wzorowe łóżko dla chorych obłożnie, i tam dalej. Bardzo rozpowszechnione między Amerykankami wiadomości z mechaniki przyczyniają się do tego, co londyński *Times*, powtarzający rzecz za Nowojorckim dziennikiem, nazywa najszczęśliwszym postępem w pracy kobiecej, tak ułatwiającym ją, jak wielkie maszyny ułatwiły i uprościły pracę męzką. Póki kobieta była nieoświeconą, w jarzmie rutyny pracującą robotnicą, nie mogła nic zrobić w tym kierunku, w którym mężczyzna rzadko kiedy może i chce działać. Na zasadzie wielkiej użyteczności tych, drobnych, a jednak wiele trudu ludzkiego oszczędzających, wynalazków wygrała sprawę swoją w biurze patentów przeciw zaciętemu jej opponentowi, Mrs. Helena Mac Donald, jedna z ostatnich wynalazczyń.

Anna Parnell miała mowę przy końcu Kwietnia do kobiet Dublińskich w celu podtrzymania ich na duchu wobec repressyjnych działań Anglii. Trzeba je przetrwać dla tego właśnie, że są wymierzone na to, aby trwoga ucisku, jaki szerzą, zdusiła odzywające się w Irlandczykach uczucie narodowe. Według miss Parnell pomoc niewątpliwa zapewniona jest Irlandyi od zamieszkałych w Ameryce jej synów. Amerykańscy Irlandczycy mieli się zobowiązać do utrzymania przez lat pięć wszystkich ofiar, których niezachwiane stanie przy *Lidze Rolnej*, pozbawi środków utrzymania. Przytem miss Parnell, podała do wiadomości publicznej, aby kobiety irlandzkie zwracały się do niej, to jest do Dublińskiego komitetu centralnego *Kobiecej Ligi Rolnej*, wrazie uwięzienia lub poszukiwań w tym celu każdej ważniejszej dla sprawy kraju osobistości, a wszelkie możliwe środki ratunku będą dawane; po zapomogi pieniężne, tam, gdzie one w skutek prześladowania angielskiego stają się potrzebnemi, także do wspomnionego komitetu kobietom zwracać się należy. Wszystkie komitety prowincyonalne *Ligi kobiecej* obowiązane są do czynnej działalności w tym kierunku.

Królowa angielska za pośrednictwem najmłodszego ze swych synów, królewicza Leopolda, złożyła na trumnie Dizraelego wieniec z najmilszych jej kwiatów w cieplarni Osborne, z napisem: „A tribute of affection and regret of Queen Victoria“. Śmierć tego wielkiego męża stanu wywołuje też przed pamięć publiczną wspomnienie jego zmarłej już poprzednio żony, wysoce doń przywiązanej, wysoce mu poświęconej. Pisma nasze wspomniały już o fakcie cichego bohaterstwa, jakiem miłość natchnęła tę małżonkę wielkiego człowieka. Raz oboje razem jechali do parlamentu, gdzie dnia tego Dizraeli miał wystąpić w Izbie Niższej z mową ważną; zatopiony w myślach nie uważał, że siedząca obok niego i milcząca przez całą drogę kobieta była bardzo bladą. Rozeszli się w kurrytarzach parlamentu, ona udała się na galeryą kobiet, on do Izby, z której wyszedłszy po zamknięciu sessyi, daremnie szukał żony między innemi przysłuchującemi się rozprawom kobietami. Wróciła do domu natychmiast po rozejściu się z nim, czego przyczyną było, że przy wsiadaniu do powozu, zamykając jego drzwiczki, przyciął jej tak silnie palec u ręki, że ten został niemal zmiażdżonym. Ona przecież, owinąwszy rękę w szal, powstrzymała najpierw jęk, a potem skargę wszelką, aby w chwili ważnej dla jego sławy i obowiązków obywatelskich, nie zakłócać mu myśli zaniepokojeniem o nią.

Kobieta tak czująca była godną miłości i szacunku, jakiemi darzyło ją serce męża. Ślad tego i zarazem innych szlachetnych jej uczuć, oraz podniosłości umysłowej, pozostał w ofiarowanej jej przez niego książce „Sybil“, na której pierwszej stronnicy mąż napisał żonie: „Powinienem przypisać te karty tej, która przez szlachetność ducha i łagodność swej natury, była zawsze skłonną do sympatyzowania z cierpiącymi—tej, której głos słodki często mi był zachętą, której smak i sąd zawsze kierował mojem piórem: najsurowszemu krytykowi, lecz doskonałej małżonce“.

Świeżo wyszła w Londynie biografia żony Carlyle'a przedstawia wiele rysów niemniej szczęśliwego i niemniej dobranego małżeństwa. Wiemy, jak ten surowy, ostry, niepobłażający niczemu człowiek zawołał, że życie jego stało się ciemnem z jej śmiercią. „Lampa mojego życia, której blask ozłacał mi wszystko, zagasła, zagasła dla mnie na zawsze i zostałem się najsmutniejszym, najsamotniejszym z synów Adama“. Z jego własnej korrespondencyi i zebranych wiadomości od przyjaciółki domu, Mrs Oliphant, występuje też coraz wyraźniej ta postać w piękności rzadkiej. On był brzydki, a jej uroda była wielką; on ubogi, ona dziedziczyła po ojcu, już nieżyjącym doktorze Welsh, mienie znaczne, stanowiące już majątek; on wreszcie to syn wiejskiego murarza, ona pochodziła ze sławnego, historycznego rodu, była jakąś praprawnuczką Knoxa. Uważano w rodzinie jej małżeństwo za niestosowne i nie chciano na nie zezwolić, tem więcej, że mimo wszystkich przymiotów pięknej panny, była w jej charakterze wada ciężka, która nie mogła się zgodzić z losem małżonki takiego, jak Carlyle człowieka — była zalotną, lubiła się podobać. Uważano i to za złe, że ukochany był stosunkowo za młody, więc mógł nie dość umiejętnie nią kierować—miał tylko 6 lat więcej, niżeli ona; lecz dpowiedziała na to, że nie stanowi to przeszkody, a nawet przeciwnie: przy jej i jego usposobieniu ten niby brak jest zaletą. „Trzeba nam być sobie nawzajem światem całym i zbliżeni wiekiem będziemy do siebie podobniejsi, a przytem czuję, że nie zniosłabym jego śmierci i umierałabym ciągle myślą, że mnie przeżyć może, a tak jak jest, już się tego nie lękam, aby mnie zgon jego miał ubrać w suknię wdowią“. Miała dobre przeczucie i tylko on wołał potem żałośnie, „że świat ten biedny, błotnisty i ciernisty był znośnym jedynie wtedy, gdy nim szli we dwoje“.

Miłość zaś podniosła ją odrazu nad zalotność. Po trzeciem widzeniu ukochanego stała się już całkiem inną istotą, a dalsze życie, samotność w Craigenputtock, pustelnia na Chelsea świadczą, że „miłość wszystko może“.

Biograf Janiny (Jane) Carlyle dodaje między innemi, że dwoje ludzi nie zwątpiło nigdy o geniusza Carlyle'a: ona i Goethe, a pisze jeszcze, że jeżeli ten geniusz przebył zwycięzko wszystko: „walkę z ubóztwem, ze słabem zdrowiem, z zaciętymi na niego ludźmi innych przekonań“, ona mu w tem przeważnie pomagała, tak przez wiarę w niego, przez troskliwość o niego, jak i przez wielką skromność w gustach i pragnieniach własnych: „Nigdy nie ustała w równaniu ścieżek jego żywota i zostawiała mu swobodę do pracy takiej tylko, która była godną jego posłannictwa“.

Szczęśliwy ten kraj angielski, gdzie znajdujemy tyle kobiet, godnych być towarzyszkami wielkich ludzi! Czy przecież to szczęście, spotykające ich, darmo im przychodzi i czy nie jest to nagroda, że umieją kochać dobrze, kochać szlachetnie—umieją wybierać?

Węgierski podróżnik Ujfalvy, który tylko-co powrócił z podróży po Turkestanie, został wysłany przez rząd francuzki z missyą naukową do Azyi Środkowej. Żona towarzyszy mu wiernie we wszystkich tych dalekich wyprawach.

Konkurs cesarzowej niemieckiej na najlepszą rozprawę o naturze dyfterytis i środkach, które medycyna przeciwstawićby mogła tej klęsce, spełzł, ponieważ sąd złożony z lekarzy niemieckich nie przyznał nagrody nikomu. Oznaczono termin ponowny na dzień 1 Marca 1882 r.

---

**Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się półarkusz 14-ty powieści pod tytułem: Służąca posesora; oraz półarkusz 21-szy powieści pod tytułem: Wódz-Duch.**

---

**TREŚĆ.** Pogawędka.—Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego.— Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I.—Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna Lwów, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 12 Мая 1881 года.

Dodatek do Nru 21 pisma tygodniowego Bluszcz z r. 1881.

# SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

**E. MARLITT**

przełożył z niemieckiego J. M.

---

(Dalszy ciąg).

Leśnik był jedyną osobą, mogącą powiedzieć mu, gdzie się podziała dziewczyna, ale Henryk nie śmiał zatrzymywać go na drodze i w obec trzeciej osoby wypytywać o dziewczynę. W tej chwili zobaczył, jak kotka wysunęła się z domu i przebiegłszy przez gościniec, powędrowała do lasu — drzwi więc musiały być tylko przymknięte i ktoś jeszcze znajdował się w leśniczówce....

Henryk zbliżył się najpierw do okien narożnego pokoju. Rolety były jak zwykle spuszczone, ale gdy się posunął dalej, znalazł drzwi jak przypuszczał, niezupełnie zamknięte, więc nie namyślając się ani chwili, wsunął się po cichu do sieni.

Było w niej ciemnawo, ale po prawej stronie jedne z drzwi stały otwarte na rozcież, zapewnie dla wpuszczenia chłodniejszego powietrza i przez nie przekradało się przyćmione światło.

Młodzieniec czuł całą przykrość swego położenia. Jak złodziej zakradł się do cudzego domu, jak że więc zdołał by się wytłomaczyć, gdyby schwytano go na gorącym uczynku? Pomimo tego zamknął po cichu drzwi od sieni i zatrzymał się przez chwilę na miejscu, słuchając z niepokojem.

W całym domu panowała grobowa cisza i z początku w półcieniu nie mógł nic widzieć, ale wkrótce uczynił zadziwiające odkrycie: panna guwernantka znajdowała się w tym domu! W pokoju, w pobliżu otwartych drzwi leżały na krześle rękawiczki i kapelusz z gazową woalką, która tak bardzo gniewała Grieblowę. Niepojęte uczucie przeniknęło serce Henryka: gniew, jakaś dzika nienawiść i zazdrość prawie, że ona śmiała się tu znajdować, gdy tamta biedaczka wędrowała w świat i w tej chwili była może zmęczona, strudzona, nie wiedząca gdzie się obrócić i skłonić głowę przed nocą. Okrutna egoistka będzie musiała wyspowiadać się, będzie musiała dopomódz mu do znalezienia dziewczyny, którą przywlokła ze sobą na nędzę i ciężką pracę, aby potem porzucić ją bez miłosierdzia. Gdyby nie chciała tego uczynić wypowie jej w oczy wszystko, co o niej myśli i co o takiem jak jej postępowaniu musi myśleć każdy człowiek uczciwy...

Powziąwszy nagle postanowienie, Henryk przystąpił do otwartych drzwi, ale pomimo woli cofnął się znów w głąb sieni. Nieco dalej w kącie pokoju, do którego wczoraj tak byłby rad zajrzeć, stało łóżko, a na niem spoczywał śpiący... Czy twarz ta w zielonawem zabarwieniu światła przez rolety wydawała się tak śmiertelnie bladą, lub też w istocie należała do umarłego już? — nie tak łatwo dało się roztrzygnąć. Henryk zmięszany i zdumiony nie zastanawiał się też nad tem, tylko wpatrywał się w długą, rudawą brodę, spoczywającą na biało powleczonej kołdrze. Był to ten sam człowiek, który przed kilkunastu dniami przenocował we dworze w kwaterunkowym pokoju i od jak dawna pielęgnowano go w tym tajemniczym kącie, nad którym biedny Henryk rozciągnął tak baczny nadzor? A nadewszystko co robiła tu panna guwernantka, zarozumiała, wykwintna dama, w ubogim domku gajowego, przy łożu chorego włóczęgi?

Lekki szelest sukni, ocierającej się o podłogę przyległego pokoju, zmusił Henryka do cofnięcia się jeszcze głębiej w cień. Chciał wpierw przypatrzeć się, co będzie tu robić nienawistna mu osoba, zanim wystąpi przed nią. Wychodziła z bocznego pokoju, a najprawdopodobniej z kuchni, gdyż słychać było brzęk szklannego naczynia i wreszcie ukazała się oczom podpatrującego.

Wysmukła, elegancka postać była odwróconą od niego. Widział pięknie ufryzowaną tylną część głowy; bujne, ciemne sploty, z których kilka krótkich loczków przesunęło się po za uszy; widział małą, drobną rączkę, z wdziękiem unoszącą długą, ciemną suknię. Szczególna rzecz! Henryk tę młodą pannę widział jedynie przez krótką chwilę i z daleka, jak cień przesuwającą się obok stryja, nigdy w życiu nie mówił z nią — a przecież zdawało mu się, jakoby znał ją już od bardzo, bardzo dawna, tak chód i ruch jej każdy był mu znany.

Pochyliła się po nad śpiącym i z uwagą przysłuchiwała się oddechowi; jakaś natrętna mucha, brzęcząca po nad poduszkami, została spędzoną łagodnem poruszeniem ręki, poczem odwróciła się i... stojący w sieni drgnął, jak gdyby silny prąd elektryczny zatrząsł całem jego ciałem. To, była ona... tak, ona sama: służąca posesora!

Choć teraz mnóstwo kędzierzawych loczków otaczało białe, inteligentne czoło; choć elegancka suknia okrywała wysmukłe, szlachetne kształty, które dotąd oszpecał ubiór i gruby fartuch prostej robotnicy, przecież była to ona, ona niezawodnie! Głęboko zamyślona, ze spuszczonemi w dół oczyma, powróciła po cichu do stołu...

Jak gdy by oślepiająca przepaska spadła z oczu młodzieńca, któremu ze zdumienia oddech zatamował się w piersi. A więc dał się zwieść, zwieść tak niepojęcie! W obec zręcznej, przebiegłej dziewczyny grał rolę naiwnego głupca i uwierzył we wszystko, co chciano!... A przecież tylko trochę więcej bystrości, trochę rozsądku, a był by niezawodnie odgadł prawdę, lub przynajmniej nie dał w siebie w mówić rzeczy nie podobnej do uwierzenia, aby tak delikatnie piękna, tak wykształcona, tak podniosle szlachetna istota mogła być prostą służącą? Tajemnicze bóstwo, nieodgadnięty sfinx, to była panna Agnieszka Franz, wymykająca się niepostrzeżenia, aby ciężko pracować na chleb dla starych krewnych. Czy już to samo nie kazało się domyślać prawdy, że nikt nie widział nigdy z bliska tamtej, a ta, niby sługa, tak pracowała, biegała bez wytchnienia, i mogła też czynić to jedynie sierota, odwdzięczająca się za przyjęcie do domu i staranne wychowanie, a nie obca służąca, nie mająca żadnych obowiązków? A historya z dukatem, czyż nie była bijącą w oczy wskazówką? Ale on był ślepym, ślepym na wszystko i jak małe dziecko uwierzył wymyślonej bajeczce!

Szczególne, rzadko zdarzyć się mogące połączenie gniewu i uwielbienia, pragnienia odwetu i pełnej współczucia tkliwości przepełniały mu teraz umysł i serce. Dziękował szczęśliwemu losowi, że ukryty w ciemnej sieni miał czas do opamiętania się i namysłu.

Nie spostrzegłszy go, Agnieszka przeszła obok otwartych drzwi, a on posunął się parę kroków naprzód, aby mógł obserwować ją przy stole. Rozkrajała cytrynę i parę plasterków włożyła do szklanki z wodą, a Henryk dostrzegł, zdradzające przeszłość śniade, opalone rączki, z których nie tak prędko dały się zatrzeć ślady ciężkiej, w domu i w polu pracy, i opanowało go nagłe i tak wielkie roztkliwienie, że trzeba mu było walczyć z nim silnie, aby je pokonać.

Tymczasem na dworze zerwał się gwałtowny wicher. Słyszeć się dał potężny szum i świst, wiatr pobrzękiwał oknami, szturmował do siennych drzwi, jak gdyby chciał je wysadzić z żelaznych zawias. Agnieszka podniosła głowę, słuchając i z niepokojem spojrzała na chorego, który tymczasem leżał cichy i nieruchomy; widocznie spał twardym, głębokim snem wyczerpania.

Henryk po cichu zbliżył się ku progowi. Odzyskał już zupełnie panowanie nad sobą i gdy Agnieszka, uspokojona o chorego, chciała zwrócić się znów ku stołowi, wzrok jej padł na młodzieńca, który z kapeluszem w ręku, w postawie pełnej szacunku, stał niemy i nieruchomy na progu.

Przeraziła się tak mocno, że nóż i cytryna wypadły jej z rąk, ale prawie natychmiast odzyskała zupełny spokój. Wyprostowała swą piękną postać i przeszedłszy przez sień, obok cofającego się przed nią młodzieńca, otworzyła przeciwległe drzwi, prowadzące do pokoju gajowego.

— Proszę, bądź pan łaskaw wejść! — rzekła uprzejmie, ale chłodnym i przytłumionym głosem, jednocześnie zapraszającem skinieniem ręki wskazując mu drzwi pokoju.—Zapewnie szukasz pan schronienia przed nadchodzącą burzą?

Przytłumił mimowolny uśmiech.

— Wszak z panną Franz mam zaszczyt mówić? —zapytał, a głos jego tak był chłodny i pełen powagi, jak gdyby po raz pierwszy w życiu widział stojącą przed sobą osobę.

— Tak, panie. Jestem Agnieszka Franz, synowica dzierżawcy folwarku — potwierdziła i ona z równą powagą. Oczy mówiącej spuszczone były ku ziemi, twarz płonęła rumieńcem. — I guwernantka — dodała z pewną ironią w głosie. Spojrzała na p. dziedzica wzrokiem, w którym połyskiwały i duma i nieśmiałość zarazem.

Nie zauważył tego i wcale nie wydawał się zmięszanym. Stojąc niedaleko drzwi, odezwał się jak gdyby dla usprawiedliwienia swej obecności w tem miejscu.—Wcale nie mam zamiaru schronienia się tu przed burzą; zmoknięcie nie zastrasza mnie, tem więcej że wkrótce zapewnie będą zmuszony wybrać się w pospieszną drogę. Szukam młodej dziewczyny, siostry miłosierdzia, która wczoraj opatrzyła mi ranę. — Mówiąc to podniósł rękę, ukazując obandażowanie. — Pan posesor powiedział mi, że dziewczyna odeszła już na zawsze. Czy to prawda, pani? Czy w istocie oddaliła się?

Spuściła oczy, odpowiadając niepewnym głosem:

— Nie mogła pozostać dłużej; wszak pan sam kazałeś zgodzić inną służącą, która miała ją zastąpić.

— I odeszła, nie myśląc o tem, że zobowiązała się słowem, które przecież powinna była dotrzymać.... Wczoraj jeszcze powiedziała:—Przyjdę jutro opatrzeć ranę, i uwierzyłem też jej przyrzeczeniu, jak bym wierzył słowu mężczyzny, czekałem cierpliwie, przez cały czas popołudniowego upału siedząc w gorącym powilonie ogrodowym i spodziewając się ciągle, że lada chwila przybędzie ta dziewczyna w ubogiej sukni służącej, z białą chustką na głowie. Nie dotknąłem dotąd obandażowania z obawy, aby go nie rozluźnić i nie zciągnąć na siebie nagany mojej wdzięcznej, szlachetnej siostry miłosierdzia, a ona oddaliła się, zniknęła na zawsze... Cóż mam teraz począć?

— Pozwól pan, abym ją zastąpiła i spełniła dane przez nią przyrzeczenie — rzekła Agnieszka z nieśmiałością, wyciągając ku niemu rękę.

Henryk cofnął się, zachowując całą dotychczasową powagę.

— Dziękuję — odparł z chłodną uprzejmością. — Nie mogę przyjąć łaskawej propozycyi pani. Obandażowanie pozostanie, tak jak jest, dopóki nie znajdę mej siostry miłosierdzia. Powiedziałem już pani, że pójdę za nią i spodziewam się na

pewno, że będziesz pani tyle dobrą i dasz mi wskazówkę, gdzie mam jej szukać?

—Nie mogę tego zrobić, nie jestto w mej mocy— odrzekła odwracając się.

— Ależ to jest okrutnie, nie po chrześciańsku, a nadewszystko jestto rażąca niesprawiedliwość. Czem ten obcy żebrak zasłużył na pierwszeństwo przedemną? Jego pielęgnujesz pani z taką troskliwością, a mnie odmawiasz wyjaśnienia, które przyniosło by mi wyleczenie i... najwyższe szczęście mego życia.

Zbladła śmiertelnie i drżącą ręką zamknęła pocichu drzwi, dotąd przymknięte tylko.

— Ten, żebrak — rzekła ze łzą w oku: — ten nieszczęśliwy, nie mający na świecie nic, nawet poduszki, na której spoczywał podczas śmiertelnej choroby, ten żebrak jest wyjątkowo godnym litości. Czy pan wiesz co to jest płynąć za morze za poszukiwaniem złota; nie będąc ani chciwym, ani bogactw łaknącym przebyć tysiące trudów i niebezpieczeństw, aby wreszcie powrócić ubogim jak Hiob, śmiertelnie znużonym i paść wyczerpanym na rodzinnym progu? Dla matki to chciał biedny pracować i zbierać. Wiedział, że przyjdzie czas, gdy otoczy ją ubóztwo i brak najkonieczniejszych rzeczy, wyrwał się więc w świat, niezachwianie wierząc, że zdoła ocalić tę ukochaną matkę od nędzy. Inny możeby nie powrócił, gdy najdroższe jego nadzieje rozwiały się, byłby pracował dla siebie—młody i silny byłby utorował sobie drogę w życiu, ale on tak nie uczynił — tęsknota za starą matką zmusiła go do powrotu. I oto ciężka choroba zatrzymała go tu, o kilkaset kroków od miejsca pobytu rodziców...

— A... rzekł Henryk smutno — więc to on — ten, na którego stary posesor czeka tak niecierpliwie....

Skinęła głową potwierdzająco.

Henryk czuł się głęboko wzruszony. Był to zatem ów oczekiwany nabab? Przed chwilą jeszcze niepoprawny starzec w swych lekkomyślnych złudzeniach targował dla niego konie do powozu, i dobra księcia, tworzył genialne plany przekształcenia w kilka dniach tej puszczy na wspaniałą rezydencyą i to wszystko za kalifornijskie złoto!

Na szczęście w pośród tego rodzinnego dramatu znalazła się młoda dziewczyna pełna serca i męztwa, która wszystkie te nędze i boleści zapragnęła odeprzeć własną piersią. Agnieszka przyjęła wszystko na siebie: ciężką, prawie nad siły pracę, troskę o chleb powszedni, pielęgnowanie dwojga bezwładnych starców. A oto leżał tu jeden jeszcze nędzarz, którego powrót należało taić i tylko niespostrzeżenie przekradać się do niego. Z jak strasznym niepokojem, z jakiem drżeniem serca musiała wymykać się z folwarku wśród nocy, aby tu czuwać, pielęgnować, ratować? Tymczasem przy wykonywaniu tego dzieła miłości podpatrzyła ją Grieblowa i okrutnie, bez litości potępiła!

Z pozornym chłodem patrzył na nią, stojącą przy drzwiach z pochyloną na piersi głową, lubo chętnie padł by był do stóp uwielbianej.

— Czy krewny pani jest już zdrowszy? — zapytał, starając się miarkować głos.

— Dzięki Bogu, tak. Doktór, który przed chwilą oddalił się, uznał że jest ocalony. Wczoraj wieczór był o niego bardzo niespokojny —gorączka przybrała niebezpieczny charakter, lecz wkrótce potem nastąpiło szczęśliwe przesilenie.

Teraz Henryk zrozumiał wszystkie tajemnice domku gajowego i wstyd uderzył mu rumieńcem na czoło. O! zazdrość jest złą namiętnością, bo w szale swym kala to, co kochamy!

— Powrót Ottona w pośród tak nieszczęśliwych okoliczności należało zataić przed rodzicami — mówiła dalej Agnieszka, lecz gdyby by umarł!... Umilkła, wzruszenie na samo wspomnienie okrótnego przypuszczenia przytłoczało ją, a wśród ciszy, która nagle nastąpiła, ozwał się odgłos dalekiego grzmotu i duże krople deszczu zaczęły uderzać o szyby.

— Nadchodzi burza — odezwała się znów z niepokojem — a gajowy poszedł do miasta po lekarstwo...

— Na folwarku dwoje biednych starych niepokoi się o młodą pannę, zbierającą kwiaty w lesie — dodał Henryk z łagodnym uśmiechem.

Spojrzała na niego, ale teraz inaczej jak przed chwilą. Niemiłe wspomnienie wzbudziło jej w sercu żal i rzekła też z niejaką goryczą:

— I cóż by to szkodziło, gdyby rozgrymaszona, rozpróżniaczona guwernantka, lubiąca tylko układać bukiety i grać na fortepianie, zmokła choć raz, choć raz poznała co to burza, nie wygoda, zmęczenie?

Henryk milcząc, przypatrywał się padającemu deszczowi.

— Jestem tego samego zdania — rzekł, odwracając się od okna po chwilowem milczeniu.—Istoty próżnujące, i pozornie uczuciowe, a w głębi duszy egoistki, powinny przebywać choć czasem próby losu, ale dla czego zwracasz pani tę uwagę do siebie? Ręce te opalone i spracowane nie mogą należeć do osoby próżnójącej spokojnie wśród biedy rodzinnej.

Przybliżył się do niej i z tkliwością spoglądał na jej drobne rączki, na których ślady ciężkiej pracy okazywały się widocznie. Powstrzymywał się z całych sił, aby nie klęknąć przed nią i nie przycisnąć ust do tych rączek biednych, ale czekał aż mu to dozwolonem zostanie. Spodziewał się też, że go zrozumieją, że mu przebaczą przeszłe uprzedzenia i pozwolą błagać o darowanie winy.

Ale nie: p. Agnieszka Franz milczała: rumieńce biły jej na lica, usta drżały, ale milczała — guwernantka.

On też pochwycił drżącemi rękami kapelusz, który przed chwilą położył na najbliższym stoliku, a ona wtedy zawołała żywo.

— Przecież nie wyjdziesz pan na taki deszcz? — Burze w tych lasach bywają straszne, wysokie położenie miejscowości to sprawia... Nieraz walą się drzewa, biją w nie pioruny...

— Niech i bogacz biblijny pozna, co to jest nie mieć dachu i ochrony — odparł Henryk. — To mu z pewnością mniej zaszkodzi, niż powietrze w tym domu, wzburzające mu krew aż do rozpaczy. Stokroć woli szamotać się z burzą i wichrem, niż toczyć walkę z nieprzebłaganą surowością, twardością serca. A przytem, czy zapomniałaś pani, że przybyłem tu jedynie w tym celu, aby znaleść słodką, dobrą, poświęconą dziewicę — przepraszam, chciałem powiedzieć siostrę miłosierdzia? Otóż przekonałem się, że tu jej niema — niema mężnej, szlachetnej, wspaniałomyślnej, która nie mogła przenieść na sobie, że mimowolnie była przyczyną mego bólu i poświęcając się... sama przyszła do mnie...

— Spełniła tylko obowiązek — przerwała mu Agnieszka chłodno, ale usta jej drżały, a twarz coraz silnej płonęła rumieńcem. — Ale dziewczyny z białą chustą na głowie i w ubogiej sukni służącej, nie znajdziesz pan już ani tu, ani nigdzie, bo uszła w świat daleki — daleki... Czyż przecież nie powiedziała kiedy panu, że jej serce i moje serce, jej dusza i moja dusza, to jedno i to samo? Musi więc cierpieć, gdy ja cierpię, oburzać się, gdy mnie zdejmuje oburzenie i wraz ze mną czuć, że dziewczyna uboga, która chce szanować siebie samą, musi pamiętać i niezapomnieć nigdy, gdy ją raz oskarżą o najwstrętniejszą pod słońcem rzecz: o polowanie na bogatego męża. Ja wiem najlepiej, co wycierpiała, jak mocowała się sama ze sobą, stojąc na pierwszym stopniu schodów, prowadzących do mieszkania pana.

— Ale pomimo tego weszła i postąpiła tak, jak prawdziwa kobieta powinna była postąpić, szła za sercem, pełnem uczuć tkliwych, a nie za samolubnym rozumem i pogańską zasadą: ząb za ząb. Wątpić o tem sercu było by zbrodnią, której bym nigdy nie mógł przebaczyć samemu sobie i dla tego choć byś pani oczerniła tę pełną dobroci i poświęcenia istotę, ja jednak nie uwierzę i z niezachwianem zaufaniem będę powtarzać:—Ona powróci, powróci niezawodnie, gdyż jej dzieło Samarytanki nie jest jeszcze skończone, przyrzeczenie niedotrzymane. — Powiedziawszy to wskazał na obandażowaną rękę, a wzruszenie było teraz silniejsze niż wola i okazywał w głosie i spojrzeniu miłość.

— Nie zapominaj pan, że chciałam ją zastąpić— rzekła Agnieszka zcicha.

— Dziękuję pani, ale stanowczo odrzucam jej łaskawę pomoc. Będę czekać, czekać cierpliwie, aż moja siostra miłosierdzia przypomni sobie o cierpiącym pacyencie... A teraz muszę już odejść. Może w lesie odnajdę jej ślady...

— W tej chwili nie możesz pan oddalić się.

— Dla czego? Czy z powodu burzy? Spojrzyj pani w okno?

Deszcz ustał zupełnie.

W istocie nie padał w tej chwili, ale była to tylko krótka przerwa w walce żywiołów, podobna do tej, gdy dwaj zapaśnicy zaprzestaną mocować się, lecz jedynie dla nabrania świeżych sił. Ściemniło się w pokoju, jak gdyby nagle noc zapadła; czarne chmury opuściły się nisko, zdawało się, że chcą przycisnąć dach domu i lasy otaczające go do koła.

Henryk skłonił się grzecznie i posunął ku drzwiom przy których stała zasłaniając je niejako.

— Nie wychódź pan — odezwała się z prośbą. Słowa te brzmiały tak słodko i łagodnie, jak wczorajsze napomnienie: — Bądź pan dobrym...

Oczy młodzieńca zabłysły żywym ogniem: pomimo to, odpowiedział z chłodną uprzejmością, — Pozostaję, gdy pani rozkazujesz. Pojmuję, że obawiasz się pozostać sama podczas burzy.

— O! wcale nie jestem tak lękliwą — odparła z rozdrażnieniem. — Od dzieciństwa raczej lubię burzę, niż się jej obawiam.

— W takim razie życzenie pani jest dla mnie zagadką. Gdyby wypowiedziała je siostra miłosierdzia, wtedy wiedział bym, że czyni to z obawy o mnie, jak wczoraj, gdy mnie szukała...

— Mylisz się pan. Ona powiedziała wyraźnie, że niesłychany ten krok uczyniła jedynie z powodu wyrzutów sumienia, z obowiązku ludzkości — odpowiedziała Agnieszka z żywością, dumnie podnosząc głowę.

— A więc tak było? I pani jesteś do tego stopnia nielitościwą, że widząc mą śmieszną może wiarę w serce kobiety, masz odwagę odebrać mi moje słodkie złudzenia?

Spuściła oczy ku ziemi i odsunęła się ode drzwi.

— Czy nie znajdziesz pani ani jednego słowa pociechy dla człowieka, który cierpi okrótnie?

Na twarzy jej widać było walkę sprzecznych uczuć, lecz usta pozostały zamknięte, a postawa wyrażała nieugiętą dumę, podczas gdy wolnym krokiem oddaliła się od drzwi.

— A wiec oddalam się z najboleśniejszym zawodem, jaki mnie spotkał w życiu — rzekł Henryk ze smutną powagą, otwierając drzwi i kłaniając się pozostającej z głębokim szacunkiem.

Henryk zupełnie zapomniał, że w domu znajdował się chory, szedł więc przez sień szybko i głośno. To zapewnie przebudziło śpiącego.

— Agnieszko!—odezwał się słaby głos z pokoju po prawej stronie.

Henryk widział jeszcze, jak wezwana przebiegłszy szybko przez sień, weszła do pokoju chorego. Ale widział także, że na progu zatrzymała się krótką chwilę i z niepokojem spojrzała na oddalającego się, gdy otworzywszy sienne drzwi, szarpane przez gwałtowny wicher, zaledwie zdołał je zamknąć.

(Dalszy ciąg nastąpi)

# WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

## KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem żołnierze Francuzcy przyglądali się miastu, mówiąc jedni do drugich: — Sprawa będzie ciężką! — W istocie widok starej warowni Castelbar, wzmocnionej jeszcze resztkami dawnych wałów, sprawiał potężnie groźne wrażenie. Dostać się do niej można było tylko od frontu, gdyż główny gościniec, przerzynający miasto z północy ku południowi, stanowił jedynie wejście i wyjście. Przy każdej bateryi stali na stanowiskach artylerzyści, gotowi rozpocząć dzieło zniszczenia. Na wszystkich wzgórzach czerwone mundury.

Anglicy, niezawodnie uprzedzeni o zbliżaniu się nieprzyjaciela, mieli się na baczności — czekali...

Francuzi zstępowali z gór w głębokiem milczeniu. Linia ich bojowa zaledwie wynosiła dziesiątą część angielskiej mili. Zdawało się, że to tłum kosiarzy, wybierających się rankiem na sianożęcie i właśnie zstępujących na łąki.

Lecz garstka tych ludzi czuła, że w ich piersiach uderza serce Francyi. W obec tygrysów Wielkiej Brytanii, wierzyli że są lwami.

Ustawili się z pośpiechem po za nasypami szerokiego rowu, wybitego po nad łąkami. Wał ten zaledwie osłaniał ich przed pierwszym ogniem artyleryi.

Stary komandor Sherlock, komendant twierdzy i miasta Castelbar, kazał się zanieść na teras najwyższego w mieście domu. Z pomocą morskiej lunety uważnie badał ruchy francuzkiej armii i niekiedy uśmiechał się z szyderczym tryumfem.

Sztab francuzki nagle zatrzymał się. Oficerowie rozmawiali żywo i kilku nawet zaczęło szemrać, utrzymując, że nie pozostawało nic innego, jak złożyć broń i poddać się.

Ale Humbert nie podzielał tego zdania.

Podczas gdy żołnierze zajmowali wyznaczone im stanowiska, on, widzialny z dala na rosłym koniu, przejeżdżał się przed ogniem nieprzyjacielskich dział.

Na widok tej zuchwałej brawury, z warowni wystąpiło czterysta do pięćset kawalerzystów i wypuściło konie w cwał.

Nagle konnica francuzka usunęła się, odsłaniając podwójny szereg tyralierów. — Do oka broń! Ognia!

Anglicy zawrócili konie, pozostawiając na łąkach przeszło dwudziestu zabitych i ranionych.

Lecz było to jakoby prologiem i zdawało się, że to hasło bojowe zostało wydane, że to pobudka do dzieła.

Siedemnaście dział Castelbaru sypnęło płomieniem i żelazem. Dwa francuzkie odpowiadały im bezustannie. Teraz już nie mgła lecz dymy osłoniły dolinę.

Burza ta trwała przez dziesięć minut, podczas których oficerowie i podoficerowie rozdawali rozkazy.

Francuzi spokojni i z bronią w ręku, jeszcze dotąd nie ruszyli się.

Humbert siedząc wciąż na siodle, lekceważąco odwrócił się tyłem do warowni.

Gdy rozpoczął przemowę, ujrzał jednego grenadyera, który pochylał głowę, gdy przelatywała armatnia kula.

— Czy się boisz? — zapytał go z uśmiechem.

— Nie generale! — odparł żołnierz. — Lecz to dla mnie nowa znajomość, witam ją zatem.—Pragnę być grzecznym.

— Żołnierze Moselli i Renu! — mówił dalej Humbert. — Teraz już nie pora cofać się! Zresztą jestem pewny, że żaden z was nie zgodził by się na to. Pozostaje nam tylko jedna alternatywa: pontony, albo zwycięztwo!

Mały dobosz dwunastoletni przerwał mu, bębniąc do ataku.

— Brawo! — zawołał wódz, kończąc na tem mowę —To lepsze od wszystkich słów. Naprzód! Niech żyje Rzeczpospolita!

Okrzyk ten powtórzyło całe wojsko, nie wyłączając Gaillefontaine'a, który nie mogąc powstrzymywać się od uśmiechu, szepnął:

— Wprawdzie nie jest to moje przekonanie, lecz w obliczu nieprzyjaciela, jeden jest tylko sztandar—sztandar Francyi!

Teraz nastąpiła scena, godna uwiecznienia w dziejach.

Dwaj adjutanci: Fontaine'a i Sarrazin, zakomenderowali, i żołnierze przebyli osłaniający ich w części rów. Rzucili się plutonami z prawego i z lewego boku, aby uderzyć od skrzydeł. Była to genialna myśl, którą niebezpieczeństwo natchnęło naczelnemu wodzowi.

Pomimo przeszkód nierównego gruntu, żołnierze biegli cwałem, wdzierając się na skały, skacząc przez ogrodzenia. Nic ich nie powstrzymywało, ani strzały ręcznej broni, ani kartacze. Marsylianka zagłuszała huk artyleryi, która lubo na chwilę zamilkła z powodu nie spodziewanego ruchu napadających, teraz jednak znów grzmiała i miotała śmiertelne swe pociski.

Francuzi wdarli się na wzgórza i zawsze w szalonym biegu rzucili się na szańce. Teraz umilkły strzały, ostrza bagnetów rozstrzygały.

Ostatni opór załogi podnosi zapał nacierających. Następuje straszliwe zamięszanie. Działa zostają zmuszone do milczenia. Wykłuto artylerzystów na ich armatach. Odwrócone je na Anglików.

To rozpoczęło klęskę. Już drugie ich linie zaczęły się mięszać i cofać. Humbert okrążył wzgórze ze garstką szaserów i z oficerami sztabu, który szarżowali jak prości żołnierze, stosownie do zapowiedzi generała. Przybywszy z kolei na plac bitwy, rzucili się na rezerwowe bataliony, z pałaszami w ręku.

Teraz stary komandor przestał się śmiać.

Jednak ostatnia baterya rozpoczęła gwałtowny ogień, sypiąc kartaczami na zwycięzców.

Osłaniał ją półk Szkotów, który utworzywszy groźny czworobok, pozostał dotąd niedotknięty porażką. Ci górale z nagiemi kolanami są silni i niezachwiani, jak ich skały.

W tej chwili pod Humbertem padł koń. Lecz olbrzym i tak jeszcze panował nad całem otoczeniem.

— Kto mi pomoże do wzięcia ich chorągwi? — zawołał grzmiącym głosem.

— My! — odpowiedzieli grenadyerowie z zapałem.

I bagnety skierowały się ku klajmorom szkockim.

Fitz-Gerald, który również utracił konia i Gaillefontaine, nie chcący ani na chwilę odstąpić go, walczyli obok naczelnego wodza.

Gdy już zbliżali się do chorągwi, jakiś żołnierz pochwycił ją, zabiwszy wprzód chorążego, który ją niósł.

Był to ten sam, który witał kulę, był to Frytz, mężny syn Alzacyi.

— Widzisz, generale — zawołał z dumą —widzisz, że się nie boję!

Reszta górali, walcząc mężnie o każdą piędź ziemi, cofała się zwolna ku miastu i wreszcie ukryła się w niem.

Ogień ostatniej angielskiej bateryi powstrzymał pogoń. Obsługiwali ją marynarze, pod osobistem dowództwem komandora Scherlock.

— Dzieci! — zawołał do swych artylerzystów — damy się zabić wszyscy do ostatniego, lecz musimy zasłonić cofającą się armię. To nasz obowiązek.

I w istocie komandor Scherlock przez całą godzinę zagradzał przejście i gdy wreszcie zamilkły działa, mężny ich dowódzca już nie żył.

Tymczasem Szkoci w najzupełniejszej rozsypce uciekali we wszystkich kierunkach.

Humbert wskoczył na świeżego konia. Obok niego znajdowali się Edward i Gaillefontaine. Skoro tylko droga została oczyszczoną, przejechali przez miasto galopem. Za nimi popędzili szasery i sztab główny, rozpraszając tu i tam ostatnie bataliony, które jeszcze usiłowały połączyć się.

Fitz-Gerald zapomniał całkiem o ranie. Trzymając w jednej ręce pistolet, w drugiej szablę, bił się jak gdyby Archanioł zasłaniał go, bił sie jak bohaterscy jego przodkowie pod Fontenoy.

Co do wicehrabiego, upojony walką, przypomniał sobie stare hasło feodalnej Francyi i na cały głos wołał:

Montjoie et Saint-Denis!

Na płaszczyznie, rozciągającej się po za miastem Castelbar, spotkano dwa szwadrony czarnych ułanów barona Homspach, które sformowały się do walki.

Konnica francuzka napadła na nich jak uragan.

— Poddajcie się! — zawołał Humbert.

Już wielu oficerów wyciągało szpady, wołając: pardon! lecz dowódca ich przekonawszy się o dziwnie małej liczbie zwycięzców, rozkazał niespodzianie zatrąbić do ataku.

Ta zmiana frontu mogła się stać fatalną, gdyż było ich sześciu przeciwko jednemu.

— Wyrąbać ich! —zawołał Humbert donośnym głosem.

I po raz drugi kawalerya francuzka wycięła krwawą szparę środkiem dwóch ściśniętych szwadronów niemieckich.

Ale odepchnięci, byliby z kolei musieli przyjąć atak, gdy zjawili się grenadyerowie, przybywający pędem.

Widok posiłków ugasił zapał najemników i Niemcy spiąwszy konie, uciekali.

Niepodobna już było przeciągnąć zuchwałą pogoń. Znużenie piechoty nie pozwalało na to.

Powróciwszy do Castelbar, zastano miasto zajęte przez adjutanta Fontaine. Radość dochodziła do szału.

— Serce tak mi uderza w piersi, jak w dzień wzięcia Bastylii!—zawałał sierżant paryżanin.

Przeciwnie O' Nial i inni wychodźcy posmutnieli. W samym początku bitwy ochotnicy ich, na których tyle liczyli — zbiegli.

Wyjątek stanowiła jedna tylko kompania, dowodzona przez Pata.

Noszono go w tryumfie.

Dzielny chłopiec rzucił się pierwszy na armatę, wołając na towarzyszy:

— Arrah! Nie lękajcie się... już ja jej zatkam buzię!

Tankred pochwaliwszy walecznego chłopaka, rzekł mu:

— Brawo, mój zuchu! Widzę, że na prawdę jesteś mężnym.

— Nie wiem o tem — odpowiedział biedak naiwnie.

Poczem dodał, uderzając się nagle w czoło:

— Hillou! Jest to prawdopodobnie skutek powroza wisielca!

Aż do północy trwała iluminacya, okrzyki, śpiewy, bratania się z ludem. I Gaillefontaine miał udział w zwycięztwie.

— Ach — mówił sobie westchnąwszy, gdy znalazł się już na progu przeznaczonego dlań mieszkania — mogę powiedzieć że biłem się dziś raz pierwszy. Tam, w Wandei, było to dla mnie coś jak sen o sabacie piekielnym, gdym mierzył w pierś Francuza....

## XLII.

### Tydzień przerwy.

Do liczby najsławniejszych w historyi wojskowej porażek należy klęska Anglików pod Castelbar. Uznaje to nawet ich historyk: I. Gordon. Nie tylko wojsko pięć razy liczniejsze od Francuzów odbiegło całej posiadanej artyleryi i amunicyi, porzuciło mnóstwo broni na placu boju, lecz jeszcze nie czuło się bezpiecznem, gdy zatrzymano się po ucieczce przeszło o osiemdziesiąt mil angielskich od zwycięzców. Niewiadomo — dodaje dziejopis — na jakim krańcu Irlandyi zakończyła by się była ta haniebna ucieczka, gdyby nie powstrzymał jej wicekról, który przybywał z Alhlony z nowemi siłami.

Sami Francuzi nie spodziewali się tak świetnego zwycięztwa. To też upoiło ich ono i olśniło, lecz tylko na chwilę.

Nazajutrz policzono się jednak. Zwycięztwo kosztowało bardzo drogo: przeszło dwustu było zabitych i ranionych.

Armia generała Humberta zeszła do liczby ośmiuset ludzi.

— A teraz — zapytał wódz naczelny swego sekretarza—cobyś pan uczynił na mem miejscu?

— Rada wyda się zapewnie panu nierozsądną — odparł Tankred — lecz po zwycięztwie, gdy honor francuzkiej broni jest już ocalony, wsiadł bym na okręty i powrócił do kraju.

Humbert uśmiechnął się dumnie.

— Niepodobna! — oświadczył — i to z bardzo ważnego powodu, że nasze trzy fregaty już odpłynęły. Zresztą, dla czego mamy rozpaczać? Czekam na posiłki.

I Fitz-Gerald podzielał to zdanie. Zdawało mu się nie podobieństwem, aby Dyrektoryat nie miał wesprzeć skutecznie tej garstki bohaterów. Co do irlandzkich ochotników ucieczka kilku dziesięciu wieśniaków, uzbrojonych w przeddzień bitwy, nie dowodziła niczego. Oficerowie irlandcy zapewniali, że w krótkim czasie uczynią z nich dobrych żołnierzy. Już zwycięztwo sprowadziło innych. Broni nie brakowało. Powstanie szerzyło się w dalszych okolicach. Czyż więc miano odebrać nieszczęśliwemu krajowi może już ostatnią sposobność, wyswobodzenia się z jarzma?

— Zresztą — mówił z coraz większem ożywieniem — generał Humbert działa w imieniu generała Hoche, a ja przysięgłem walczyć obok niego aż do ostatniej kropli krwi i w żadnym razie nie złamię przysięgi!

Wicehrabia nie nalegał dłużej, nie chcąc odbierać odwagi przyjaciołom. Lubo nie podzielał ich nadziei, jednak wyswobodzenie Irlandyi obchodziło go tak żywo, że niekiedy zapał ich udzielał się i jemu. Była to sprawiedliwa i piękna sprawa, sprawa godna pomocy wszystkich szlachetnych bojowników! Hoche niezachwianie wierzył w powodzenie i gdyby nie burza w przystani Bantry byłby niewątpliwie dokonał tego, co przedsięwziął. Humbert znał cały jego plan. Wprawdzie brakowało mu geniuszu tamtego i wyższego wykształcenia wojskowego, ale miał instynkt, natchnienie i prawdziwie bohaterską odwagę. Dostatecznie poprzekonywał o tem pod Castelbar. Och, gdyby był przybył dwa miesiące wcześniej i na południe, co za różnica!

— Przynajmniej — radził Gaillefontaine —połączcie się jak najspieszniej z człowiekiem, który wciela w sobie całą bohaterską duszę Irlandyi, z tym, którego nazywają Wielkim Mścicielem.

— Mówisz, wicehrabio o dzikim Irze, wszak prawda?—zapytał Edward.

— Tak jest — odpowiedział Tankred — jego imie, ogromny wpływ, wreszcie niezaprzeczony geniusz, mogą nam przynieść potężną pomoc.

Już to nie po raz pierwszy generał republikański słyszał mówiących w ten sposób o cudownym człowieku — o wodzu-duchu. Pozyskanie więc podobnego sprzymierzeńca musiał uważać za rzecz bardzo ważną.

— Gdzież on jest?—zapytał z żywością.

— Ostatni raz — odpowiedział wicehrabia — spotkałem się z nim przed pięciu dniami. Dziki Ir zmierzał wtedy na północ. Bardzo być może, że już się tam biją, gdyż człowiek ten jest wcieleniem szlachetnego gieniuszu Irlandyi i nie spoczywa nigdy, nie zna znużenia i upadku na duchu. Trzeba by więc jak najspieszniej zawiadomić go o twem wylądowaniu, generale, o twych zamiarach i rezultacie pierwszej bitwy.

— Lecz jeżeli się znajduje na drugim końcu wyspy?—zapytał Humbert.

— Napiszmy listy — mówił dalej Gaillefontaine — ty, generale, ja, Fitz-Gerald... Są oni braćmi krwią i miłością ojczyzny...

— Lecz kto zaniesie te listy? — odezwał się lord Edward. — Kto doręczy je, temu, który się kryje? Kto przedrze się z niemi przez szeregi wojsk nieprzyjacielskich?

— Mam posłańca, jakiego potrzeba — oświadczył Tankred.

— Kogoż takiego?

— Mego dzielnego Pata!

Przecież wicehrabia miał powód do niezadowolenia ze swego wiernego sługi. Wczoraj w skutku bohaterskich jego czynów, wszyscy ubiegali się aby go częstować, a szczególniej nowi jego przyjaciele Francuzi. Biedak nie umiał się im oprzeć.

— Kto zdobył armatę — utrzymywał sierżant Paryżanin — ten nie może wypić za wiele. Pij więc, bracie!

W skutku tej chwalebnej zasady, paddy powrócił pijany, jak bela.

— Musha! — rzekł starając się ukryć. — Niech Wasza Cześć nie patrzy na mnie. To wina tych obywateli Rzeczypospolitej francuzkiej. Nazywają to oni oblaniem zwycięztwa. Wymaga tego koniecznie jakiś obywatel Bachus, pan musisz go znać także... Lecz Wasza Cześć niech będzie zupełnie spokojną, gdyż klnę się na Ś-o Patryka, że jutro nie pozostanie ani śladu tego, że...

— Że teraz potrzebujesz przedewszystkiem iść spać — rzekł mu Gaillefontaine gniewnie, ale nazajutrz, gdy go zawezwał przed siebie, paddy był już zupełnie trzeźwy i rześki jak zawsze.

Tankred zawiadomił go o nowej, ważnej usłudze, jakiej oczekiwano po jego znanej gorliwości i odwadze.

— Arrah! — zawołał. — Uważaj pan tę rzecz za załatwioną już. Znam go, znajdę, oddam listy i powrócę z odpowiedzią.

— Lecz gdzie ukryjesz te listy?

Po chwilowym namyśle Pat prosił o trochę pieniędzy jako zaliczkę na koszta podróży i oddalił się, przyrzekłszy uroczyście, że powróci o północy.

Zaledwie zaczęła bić umówiona godzina, stawił się przebrany za angielskiego kolonistę, uciekającego — jak mówił — przed francuzkim najazdem. Na nogach miał tylko jeden but, drugi trzymał w ręku eskortujący go grenadyer.

— Obywatelu szewcze — mówił, albo raczej gestykulował poczciwiec — podaj gentlemanowi nasze pudełko na listy.

Żołnierz podniósł jedną z dwóch grubych podeszew, świeżo odprutą, poczem wsunięto pod nią wszystkie trzy listy.

— Nikt ich tam nie będzie szukał! — zawołał Pat wesoło. — A teraz, wielki artysto, przybij znów podeszwę goździami, tylko proszę cię, wybierz jak najmocniejsze.

Podczas gdy szewc wykonywał ten rozkaz, Pat otrzymał ostatnie objaśnienia. Nic go nie przestraszało, ani trudności, ani niebezpieczeństwa.

— Od czegóż mam kawałek stryczka zawołał. Stanę się rybą, jeżeli zajdzie potrzeba podróżować wodą, zamienię się w ptaka, gdy nie będzie innej drogi, jak przez powietrze.

Tankred uśmiechnął się, ale w duszy czuł wysoki szacunek dla tego prostego, lecz niemniej wzniosłego bohaterstwa.

Pat udał się na północ, gdzie aż dotąd drogi były zupełnie wolne. Wszyscy oczekiwali z równą niecierpliwością na pomoc ze strony Jakóba, jak na posiłki z Francyi.

Z rozkazu Fitz-Geralda rybacy z przystani Westport, oddalonej od Castelbaru, bezustannie krążyli po morzu, czatując na przybycie francuzkich okrętów. Skoro by tylko ukazały się na wodach irlandzkich, mieli zlecenie przeprowadzić je nocą do lądu i zawiadomić o miejscu, w którem znajdował się generał Humbert.

Lecz dnie upływały jedne za drugiemi, a żaden żagiel nie ukazywał się na nieboskłonie!

Za to ochotnicy napływali licznie i z zapałem zaciągali się pod chorągwie narodowe, na których połyskiwała harfa Irlandyi i napis: Erin go bragh!

Ten okrzyk wojenny łączył się z francuzką Marsylianką, przerobioną dla Irlandczyków, którzy śpiewali hymn ten z zapałem, dochodzącym do szału. Przytem w sztuce żołnierskiej czynili ogromne postępy, wydające się prawie cudem.

—W krótce będę miał rzeczywistą armię—mówił Humbert zacierając ręce z radości.

Oficerowie i żołnierze francuzcy serdecznie pokochali biedaków, ten lud tak wesoły, tak dobry i uczuciowy, być może trochę lekkomyślny i junacko chełpliwy, lecz nadzwyczaj szczery i inteligentniejszy od wielu innych. Jednego dnia generał odezwał się:

— Dalibóg ci ludzie są bardzo podobni do Francuzów!

— Z przed dwóch wieków — dodał półgłosem Gaillefontaine.

— Ba! — odparł Humbert. — Dogonią nas w niedługim czasie. Za pół roku nikt ich nie pozna i wtedy będzie to druga Francya... Zresztą Francya jest wszędzie tam, gdzie my jesteśmy!

Przez całe osiem dni Anglicy pozostawili armią Humberta w najzupełniejszym spokoju. Zaszło jedynie kilka drobnych utarczek i to zawsze daleko od miasta, w kierunku południowym. Anglicy nigdy nie dotrzymali kroku. Wszystkie wiadomości nadchodzące z różnych stron kazały się domyślać, że żądano pokoju i nie miano ochoty bić się z Francuzami. W krótce potwierdziło się to dowodnie.

Do przednich straży przybył oficer dragonów, posłany, jak mówił przez wicekróla i z oczyma zawiązanemi został zaprowadzony do kwatery generała. Chciał mówić z naczelnym wodzem wyprawy, lub przynajmniej z jego sekretarzem, wicehrabią Gaillefontaine, o którego dowiadywał się ze szczególną gorliwością.

— Zobacz się pan z nim naprzód — rzekł Humbert.

Tankred wszedłszy do pokoju, w którym go zamknięto, nie mógł powstrzymać okrzyku najwyższego zadziwienia.

Był to sir Reginald Cornwallis.

— Ty tu, półkowniku!—zawołał z żywością. — Co za nieroztropność!

(Dalszy ciąg nastąpi)

Warszawa. — Drukiem S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20

Дозволено Цензурою
Варшава, 12 Мая 1881 года.